

MYSŁ NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 16.

WARSZAWA, 21 KWIETNIA 1985 R.

CENA NUMERU 80 GR.

O NOWĄ ŚWIADOMOŚĆ DZIEJOWĄ

I

ZYJEMY w okresie wszechstronnego rewizjonizmu. Wielkie trzęsienie ziemi, jakim była — lubię to powtarzać — wielka wojna, wydobyło na powierzchnię wartości jedne, zakopało zaś doszczętnie inne, takie, co za wartości uchodziły wyłącznie w epoce poprzedzającej.

Rewizjonizm wspomniany krzewi się również i na polu nauki historjograficznej, tej jednej z nauk najżywotniejszych, gdyż związanych organicznie z rozwojem i dobrem narodów.

Świadkiem i wytwórcą tego rodzaju rewizjonizmu jest dzisiejsza Francja, w „pokładach” swoich republikańsko-wolnomularskich, niezmiernie odległa od sposobu myślenia, którego wyznawcami jesteśmy na szpaltach niniejszego czasopisma. Nie o tę Francję nam jednak chodzi: istnieje, Bogu dzięki, inna jeszcze, „najstarsza córka Kościoła”, Francja, wielbiąca poczet swoich królów, co w tysiącletniej pracy dziejowej wytworzyli jej wspańność, Francja Joanny d’Arc, nie zaś Stawiskiego.

II

Champion, Bertrand, Gaxotte, de la Gorce, Bainville — oto kilka imion, *magna nomina historiographiae*, które w ostatnich latach zajaśniały restauracją glorii monarchicznej Kapetyngów i Bourbonów. Pierwszy z nich — to „bronzownik” Ludwika XI, owego króla-ducha Francji średniowiecznej, co nie mógł podobać się romantykowi, jak im

napewno Batory mniej podobał się od Jadwigi, czy też — w zupełnie innej kondygnacji — Wielopolski od Mierosławskiego.

Akademik Bertrand nie potrzebuje „bronzować” swojego Ludwika XIV, tak, jak kolega jego, hr. de Saint-Aulaire (nawiasem mówiąc, pierwszy niedoszły ambasador w Warszawie), nie potrzebował „bronzować” kardynała de Richelieu. Inaczej — Gaxotte i de la Gorce. Trzeba było dużego talentu — mam tu na myśli pierwszego z nich, — iżby po analizie Nolhaca i Carrégo, znaleźć jeszcze tyle okoliczności łagodzących dla spleen’owatego amanta pani du Barry i pani Pompadour. A i znakomity de la Gorce pokazał sztukę nielada, „bronzując” bez śladu „faktury” otyłą postać przedostatniego Bourbona na tronie francuskim („Louis XVIII”), który po dziadku — Augustie III, odziedziczył zaiste materję cielesną, po pradziadzie zaś, Leszczyńskim, filozoficznego ducha.

III

Ten rewizjonizm francuski, który dotąd doszedł do swojego szczytu w „*Histoire de France*” Bainville’a, ma swój paragon za Alpami, paragon węższy, cokolwiek, w zabiegach szkoły faszystowskiej, która — od lat bodaj trzynastu — stara się „wybronzować” *Risorgimento*. Naprzekór maziniańskim brodom oraz garibaldjańskim koszulom, które na milę zalatują masoństwem, znosi się faszysta boloński, profesor Aleksander Luzio, ażeby

wykazać, iż pomiędzy masonerją a *Risorgimento* nie było właściwie żadnego konkubinatu. Podobno młodzi faszyści rzymscy wypisali na janikulskim pomniku Garibaldi'ego, jak to udało im się wypłoszyć z Rzymu masonerję zapomocą karabinu i książki: płoszy ją tedy bezwzględnie i nasz rewizjonista włoski z dziejów Italji i z przybytków miejscowego Biura historycznego, niepomyślny, że pentagram masonski, a bodaj i barwy „Wielkiej Łoży” zdobią po dziś dzień gmachy włoskie w dni uroczystości narodowych.

IV

Na Północy, w „Hitlerji”, także krzewi się swoisty rewizjonizm. Na razie (ewolucja ma wszakże tylko dwa lata za sobą) spotykamy tam dwu zaledwie „Anti-Ludwig”ów. Jednym z nich jest — pan Edgar von Schmidt-Pauli, „bronzownik Wilhelma” i — jako taki — zasłużony dla idei monarchicznej niemieckiej, skoro słynny „*Wilhelm der Zweite*” był chyba najlepszym dziełem wspomnianego Ludwiga. Drugim „antiludwigowcem” jest Joachim von Kürenberg, autor znanej trylogji patriotycznej pruskiej („*Danckelmann*”, „*Lucchesini*”, „*Holstein*”), z której jednak tylko dwa ostatnie człony — zresztą w niezwykle zajmujący sposób — zostały dotychczas wykonane.

V

A u nas?

Rozróżnić sobie pozwolę w „magnie” myślowej polskiej, która, jak wszędzie, tak i u nas, narasta po wojnie ze składników zarówno naukowych jak i publicystycznych, dwie formacje — w przybliżeniu — historjozoficzne.

Jedną jest — że tak powiem — szkoła Dmowskiego, z której wywodzimy się wszyscy, zarówno niedobitki szkoły krakowskiej, jak i epigoni „wielkiej trójcy” narodowo-demokratycznej, wszyscy ci, co za kulisami życia europejskiego, życia narodowego, w okresie zwłaszcza ostatnich lat dwustu, doszukują się przemożnych machinacji tajnych, a wrogich mocy¹⁾. Kładł już rękę na chorym tym pulsie niegdyś Kalinka, przestrzegał Klaczko przed konspiracją jako „granatem (z reguły) pękającym we własnych szeregach”; przyszedł potem Dmowski i z autorytetem realisty i statysty pokazał palcem na jątrzącą się ranę, na wstydliwą chorobę, toczącą europejski organizm. Czy nie mieliśmy się my, młodszy, zapalić do nauk takiego nauczyciela, my młodszy, co na własnej skórze nosimy ciężki i przęgi ostatnich lat dwudziestu?

Druga szkoła — jeśli wolno tak powiedzieć — „odbronzowników” nosiła na sobie piętno również publicystyczne (alboż to i starzy „Stańczycy” nie byli przedewszystkiem świetnymi publicystami?).

¹⁾ Świadomie pomijam tutaj optymistyczną szkołę historyczną, równoważącą niektóre przesady „cierpiętników” krakowskich (należą do niej, jak wiadomo, Sobieski, Halecki, Siemieński i t. d.).

Z ducha żydowskiego poczęta — patronował jej „Boy”-Żeleński —, z ducha wieczystego przeczenia, właściwego tej rasie, skłonna była obdzierać z laurów wszelakie nasze wielkości: z Millerem czy Brandstaetterem dobierała się do Mickiewicza, z Górką i duchową jego progeniturą — do Sienkiewicza. Ksawera Deybel zasłaniała jej ogrom „Pana Tadeusza”, pani Delfina przekreślała splendor „Irydjona”, na „arce przymierza” przyklejali rewizjonisci tego typu plotkę z Nalewek.

VI

Śpieszno mi już do — jeżeli nie zbilansowania wysiłków szkoły, do której przynależę, ponieważ to byłoby przedczesne — to przynajmniej, co pilniejsza, wykazania niedoborów czy zatorów, które hamują czy tamują pomyślny w szybszym tempie rozwój danej szkoły.

Niemasz przedewszystkiem jedności w naszych szeregach. Liczni słuchacze moich niezliczonych wykładów na temat masonerji są dobrze świadomi, jak ja się zapatruję na genezę tej instytucji. A oto, co znajduję, wbrew wszelkim moim tezom i dokumentom, w rozprawie tak poważnego pisarza katolickiego, jakim jest Ojciec Jan Urban:

a) że „między straszaki i przesady należy włożyć mniemanie, jakoby masoni posiadali jakiś jeden plan polityczny” i

b) że „byłoby przesadą utrzymywać, że masonerję wymyślili Żydzi, że Żydzi ją opanowali zupełnie i każą się jej wysługiwać jakimś specjalnie żydowskim celem”²⁾.

Czyż dziwić się wobec tego należy temu nieubłaganemu „biernemu oporowi”, z jakim spotykałem się dotąd u znacznego odłamu duchowieństwa w b. Galicji na każdym kroku mojej propagandy antymasonskiej?

VII

Veritas liberabit vos! Wyzwoli nas z matni przesądów i niedopatrzeń zmierzającego wieku liberalnego jedynie wielka tradycja historjograficzna w duchu katolickim, nawiązująca do Görres'ów i Pastor'ów, Grisar'ów, Schnüner'ów i Denifle'ów, Montalembert'ów i Ozanam'ów, Broglie'ów i Crétineau-Joly'eh, Cochin'ów i Belloc'ów, u nas zaś niezapomniana tradycja Kalinki.

Warunkiem ponownego nawiązania tej tradycji jest odwaga prawdy, innym warunkiem — w zastosowaniu zwłaszcza do takiego tematu, jak stowarzyszenia tajne — bystrość intuicji, bo — jak pięknie powiedział jeden z historyków niemieckich — „erudycja, to martwy stos drew i podpałek, intuicja, to ogień, który go zapala”. Im silniejszy ten ogień w duszy historyka, tem jaśniejsze zdoła rzucić światło na przeszłość dziejową, na losy i twórczość dawnych pokoleń i narodów.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

²⁾ „Przegląd Powszechny”, lipiec 1925.

WACŁAW SOBIESKI

DNIA 3 kwietnia b. r. zmarł nagle w Krakowie, w prawdziwie tragicznych okolicznościach, jeden z najznakomitszych historyków doby obecnej, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, ś. p. Wacław Sobieski. Wiadomość o tej niespodziewanej i niepowetowanej stracie wstrząsnęła do żywego nie tylko gronem Jego bliskich i znajomych, uczniów i historyków, ale także całym światem inteligencji polskiej, której rozwój narodowej kultury leży na sercu. Był bowiem prof. Sobieski historykiem wysokiej miary, umysłem nawskroś oryginalnym i samodzielny, talentem samorodnym, który szerokością swych zainteresowań i zdolnością ujmowania zagadnień naukowych budził podziw nie tylko w kraju, ale i w międzynarodowej społeczności historycznej. Prace, które pozostawił, weszły do trwałego dorobku naszej historjografji, a co ważniejsza, nie należały do rzędu tych, których poza specjalistami nikt nie czyta, ale przeciwnie, dzięki zaletom treści i formy, docierały do najszerszych kół społeczeństwa, ucząc je czerpać z naszej przeszłości wiarę w żywotne siły i wielkie możliwości rozwoju narodu polskiego. Ostatnio nazwisko prof. Sobieskiego stało się głośnie w związku z bolesną sprawą pozbawienia Go katedry uniwersyteckiej. Tam więc będzie rzeczą właściwą przypomnieć — w chwili śmierci — kolejno Jego nauki i wskazać, czem był w rozwoju naszej kultury i życia naszego narodu ten szczerzy historyk i prawy obywatel.

Urodzony 26 października 1872 r. we Lwowie, spędził tam lata dziecińne w domu ojca Stanisława, wybitnego pedagoga i autora prac z dziedziny wychowania. Dziesięcioletniego chłopca rzuciły losy wraz z rodzicami do Warszawy, gdzie, jak sam nieraz opowiadał, niezapomniane na Nim wrażenie wywarła rewolucja policyjna w Jego mieszkaniu. Pobudziła ona do tego stopnia jego wyobraźnię, że już wówczas rzucił się do napisania wysnutych z dziecinnej fantazji dziejów Polski. Można powiedzieć, że był to pierwszy sygnał rodzącego się talentu historycznego i gorącego uczucia patriotycznego, które tak wszechwładnie miało przeniknąć całe życie prof. Sobieskiego.

Ukończywszy szkoły średnie w Rzeszowie, po stracie ojca, wśród ciężkich warunków materialnych zapisał się na Uniwersytet Jagielloński. Zamiłowania skierowały Go od razu ku studjom historycznym, tak wspaniale rozwijającym się wówczas w murach wszechniczy krakowskiej, pod przewodnictwem t. zw. szkoły krakowskiej. Młody Sobieski od pierwszych dni swego życia uniwersyteckiego stanął wszszelach w opozycji do poglądów przez nią głoszonych. Optyzm, który stanowiął nieodłączną i bodaj najznakomitszą cechę Jego psychiki, żywa wiara w siły twórcze narodu polskiego, nie godziły się z pesymistycznym, niemal fatalistycznym poglądem na dzieje Polski, wyznawanym przez „Stańczyków”. Jako szczerzy demokrata i republikanin przywarł na ławie uniwersyteckiej do młodzieży demokratycznej, organizując m. in. manifestacyjnie akademję ku czci Lelewela, w chwili, gdy uniwersytet czcił zasługi współtwórcy „szkoły krakowskiej”, J. Szujskiego. Nauki pobierał Sobieski u znakomitego znawcy reformacji i „złotego

wieku” Wincentego Zakrzewskiego i u Stanisława Smółki. Najlepszym mistrzem było mu też miasto Kraków. Najlepiej wspominał, ile podniósł naukowych czerpał z jego murów i zabytków, jakim magnesem był dlań Wawel, który w bujnej, niemal malarskiej wyobraźni Sobieskiego ożywił się tysiącem barwnych scen historycznych z czasów wielkich dni chwały Rzplitej. W. Zakrzewskiemu zawdzięczał Sobieski metodyczne i jaknajbardziej fachowe wprowadzenie w problemy odrodzenia i reformacji. Pod jego światłym wpływem epoka Zygmunta i Batorego stała się też głównym polem zainteresowań i znakomitych prac Sobieskiego. Jemu zawdzięczał również znajomość i zrozumienie dla badań nad dziejami naszej kultury, nad historją prądów umysłowych, bujnie kiełkujących w wieku Reja, Kochanowskiego, Skargi i Zamoyskiego. Że zaś „Wiek Złoty” był okresem wspaniałego rozwoju politycznego, artystycznego i umysłowego dawnej Rzplitej, okresem, mimo niektórych oznak poczynającego się rozkładu, jasnym i pogodnym, wtedy ożywy powiew renesansu, pod którego techniętem rozkwitła nasza kultura staropolska, spłynął także na badaczy tych czasów. Stąd zaczerpnął i umocnił się zdrowy polski optymizm, który charakteryzuje wszystkie bez wyjątku dzieła Sobieskiego, optymizm, który mu pozwolił nie tylko wyzwoić się z pod sugestji szkoły krakowskiej, ale dał mu możność budzenia wiary we własne siły narodowe w okresie, kiedy naród rzeczywiście tej otuchy ze strony historii potrzebował.

Ukończywszy studjia w Krakowie pogłębił je Sobieski zagranicą, w Lipsku, u Karola Lamprechta, który wywarł na niego wpływ silny, choć przejściowy i pozwolił mu nawiązać ścisły kontakt z prądami, przenikającymi naukę historji na zachodzie Europy. Powróciwszy do kraju dał się poznać pierwszą większą pracą: „Nienawiść wyznaniowa tłumów za Zygmunta III” (1902), w której wystąpił jako pierwszorzędnny znawca stosunków kulturalnych i politycznych w epoce kontreformacji. Praca ta, do dziś bardzo cenna, a, w chwili ukazania się, wartości pierwszorzędnej, od razu postawiła Sobieskiego w rzędzie czołowych historyków. Odznaczała się nie tylko wnikliwą treścią, znajomością psychologii zbiorowej, ale odkrywała pierwszorzędnego pisarza i stylistę. Usilna praca nad stylem, lektura, a nawet opanowanie pamięciowe całych utworów umiłowanych pisarzy, a przede wszystkim Słowackiego, Kochanowskiego, Reja i Zamoyskiego, uczyniły, przy wrodzonych zdolnościach, z Sobieskiego jednego z najwybitniejszych stylistów współczesnej Polski. Dzieła jego, pisane barwnie, plastycznie, rzec można po malarsku, pełne dramatyzmu, o języku bogatym, wedle potrzeby archaizowanym, przytem prostym i łatwo zrozumiałym, dzięki tym zaletom stanowiły prawdziwe cacka artystyczne, nie zalegające tylko półek księgarskich, ale naprawdę czytane i rozchwytywane. Uderza przytem zdolność oddania środkówami językowymi nastrojów właściwych opisywanym wypadkom. Miarą zasłużonej poczytności Jego dzieł jest całkowite wyczerpanie wielu z nich i zaczytywanie istniejących egzemplarzy po bibliotekach publicznych („Nienawiść wyznaniowa”, „Studja historyczne”, „Walka o Pomorze” i in.).

W czasie studjów nad epoką Zygmunta III zajął się Sobieski postacią jedną z najwybitniejszych dawnej Polski, duchem wielkim i politykiem znakomitym, Janem Zamoyskim. Zaproszony przez Maurycego hr. Zamoyskiego do wydania korespondencji „wielkiego kanclerza”, osiadł w Warszawie i tu przez szereg lat w Bibliotece Zamoyskich zbierał materiały do tego ważnego wydawnictwa. W poszukiwaniu za listami Zamoyskiego odbył podróże do Paryża, Londynu, Moskwy i Sztokholmu, by przywieźć bogaty plon pracy, który posłuży nie tylko jemu samemu, ale rzuci trwałe podwaliny dla wydawców tomów następnych. W r. 1904 ukazał się znakomicie, wedle ostatnich wymagań nauki opracowany przez prof. Sobieskiego tom I „Archiwum Jana Zamoyskiego”, po którym posyłały się pierwszorzędną rozprawy, oświetlające postać „trybuna ludu szlacheckiego” („Szkice historyczne” 1904, „Trybun Ludu” 1905 i w. in.). Ciekawe i bardzo ważne dla obu pisarzy było wtedy spotkanie i koleżeństwo Sobieskiego z Zeromskim, wówczas urzędnikiem Biblioteki Zamoyskich. Idąc za radą Sobieskiego, wielki powieściopisarz przygotowywał się na Biblii Brzeskiej i korespondencji Zamoyskiego do skreślenia „Dumy o Hetmanie”.

Za pobytu w Warszawie, czynny i ruchliwy, wykładał Sobieski na tajnych kursach historję, a ponadto należał do założycieli „Przeglądu Historycznego”.

Prace nad Zamoyskim otwarły Sobieskiemu drogę do katedry. Habilitowany w Krakowie w r. 1908, został w tymże roku mianowany profesorem nadzwyczajnym, a w r. 1910 zwyczajnym historii powszechnej. W tym okresie działalności ogłosił rozprawę: „Henryk IV wobec Polski i Szwecji” (1907), pracę podstawową dla stosunków Francji z Polską i Szwecją w początkach XVII wieku, „Polska a Hugenci po nocy św. Bartłomieja” (1910), w której mistrzowsko odkrył związki polityczne i kulturalne między Francją a Polską w dobie pierwszej elekcji pojiagiellońskiej. W obu tych pracach, znanych i powoływanych w najnowszej literaturze naukowej francuskiej, wykazał doskonałe opanowanie materiałów polskich i francuskich, oryginalność myśli, a przede wszystkim trafne związanie spraw Polski z szerokim podłożem powszechno-dziejowym.

Tuż przed wojną posunął Sobieski swe badania na okres chronologicznie następny, to znaczy na czasy Samozwańców i rokosz Zebrazydowskiego. Z tego czasu pozostawił rozprawy: „Starania Dymitra Samozwańca o koronę polską” (1909), „Studja historyczne” (1912), „Pamiętny Sejm” (1913), a wreszcie wydane już po wojnie dzieło „Żółkiewski na Kremlu” (1920). Wszystkie one odznaczały się szeroką podstawą źródłową, a przede wszystkim tryskały talentem, który z łatwością przełamywał trudności, jakie następują skomplikowane problemy epoki rokoszowej.

Wojna światowa wprzęgnęła Sobieskiego w rydwan obowiązków służby obywatelskiej. W związku z nasuwającymi się problemami aktualnymi, ogłaszał studja z przeszłości, w których ten, kto chciał i umiał czytać, znajdował wskazania na chwilę obecną. Pisał już o Kościuszcze, Pułaskim, Bismarcku, a ponadto szereg artykułów dziennikarskich. Będąc członkiem tajnej Ligi Narodowej, stanął w szeregach zwolenników Ententy, a gdy rozpoczęły się prace nad Traktatem Wersalskim,

wyjechał do Paryża, aby oddać swą wiedzę na usługi delegacji polskiej.

Rozpiętość zainteresowań, której znamieniem była rozprawka o Bolesławie Chrobrym (1925), a zarazem studja z XIX wieku, wielka zdolność syntezy, wykład jasny i pociągający, predestynowały Sobieskiego do poświęcenia się pracom syntetycznym, któreby obejmowały większe partie naszych dziejów. Nie poprzestał więc na opracowaniu historii Henryka Walezego, Batorego i Zygmunta III w „Encyklopedji Akademji Umiejętności” (1923), gdzie dał najlepszą do tej pory syntezę tego okresu, ale opowiedział ponadto dzieje Polski w latach 1572 — 1733, przeznaczone dla inteligencji w wydawnictwie „Polska, jej dzieje i kultura”. Wreszcie na użytek szerszych sfer napisał trzytomowe „Dzieje Polski” (1923 — 25), a nadto popularne „Dzieje Polskie” (1930), tłumaczone ostatnio na język francuski („*Histoire de Pologne*” 1934). Mimo popularnego charakteru tych wydawnictw, starał się w nich ująć historję Polski z nowego punktu widzenia. Szczególnie w trzytomowych „Dziejach” po raz pierwszy przedstawił naszą historję ze stanowiska rozwoju żywotnych sił narodu polskiego (stąd rozbiory nie stanowiły dlań daty granicznej), nie wahając się uwypuklić momentów dotąd chętnie pomijanych, jak np. roli żydów w naszej przeszłości.

Skoncentrowane ataki nauki i polityki niemieckiej na prawa nasze do ziem zachodnich, a przede wszystkim Pomorza, zmobilizowały od lat dziesięciu czujny i patriotyczny umysł prof. Sobieskiego. Uważał on za swój święty obowiązek dać samemu możliwie szybko i najlepiej ugruntowaną odpowiedź na ataki, godzące w stan naszego posiadania.

Z tej szczerzej troski obywatelskiej zrodził się doniosły czyn historyczny prof. Sobieskiego, t. j. książka, naprzód wydana po polsku p. t. „Walka o Pomorze”, a później po niemiecku, znacznie rozszerzona i oparta na bogatym materiale dowodowym p. t. „*Der Kampf um die Ostsee*”, 1932. Książka ta, w wydaniu polskim dziś wyczerpana, w Niemczech skonfiskowana i palona na stosie, zawiera niezbitą historycznie wywód praw Polski do Pomorza, oświetla po raz pierwszy dzieje stosunku Pomorza do Polski na przestrzeni całej historii i obrazuje rozwój starań Polski o dostęp do morza. Dla Polaków była ona przypomnieniem, ostrzeżeniem i pobudką do obrony, dla Zachodu niefałszowanym dokumentem naszych praw do morza i Pomorza.

Wynikiem tych samych zainteresowań były dalej: rozprawka p. t. „Walka o programy rządu w Prusach Książęcych” 1931, liczne artykuły w „Morzu”, „Kurjerze Poznańskim”, a nawet zagranicznych (czeskich) czasopismach naukowych. Pragnąc pobudzić jaknajwiększy zastęp badaczy polskich do badań nad Pomorzem i polską polityką bałtycką, poruszał prof. Sobieski te zagadnienia na zjazdach historyków krajowych i międzynarodowych, a na zjeździe warszawskim w roku 1930 zorganizował wielką dyskusję nad stosunkiem ziem pruskich do Polski, w której wzięło udział kilkunastu starszych i młodszych historyków. Część przemówień, transmitowana przez radio, wywołała wielkie zaniepokojenie nauki niemieckiej, jak świadczyły artykuły polemiczne w czasopismach fachowych pruskich. Do badań nad dziejami Pomorza zaprzął również w ostatnich latach

prof. Sobieski nie tylko swoich starszych uczniów, ale całe swoje seminarjum uniwersyteckie, na którym wykonano dziesiątki niepublikowanych dotąd studjów z tego zakresu.

Obraz działalności prof. Sobieskiego jako historyka nie byłby pełny, gdybyśmy nie wspomnieli o jego działalności pedagogicznej. W ciągu 27-miu lat pracy profesorskiej wychował on liczną zastęp historyków, z których niejeden, jak prof. Halecki i Chodynicki, zdawna zajmują katedry uniwersyteckie, wielu czynnie pracuje naukowo, a całe setki rozeszły się do szkół średnich, archiwów i bibliotek, niosąc w życie cenne prawdy, zdobyte

pod kierunkiem ukochanego profesora. Bo też był ś. p. prof. Sobieski lubiany jak nikt inny, za swą życzliwość, ojcowską opiekę, za swoje przeznaczone serce i zapobiegliwość o losy i przyszłość swoich wiernych uczniów.

Od kilku lat dotknięty ciężką chorobą, uległ jej na wiadomość o pozbawieniu go ukochanej katedry, z wysokości której lat tyle głosił prawdę i krzewił wiarę w siłę i moc narodu.

Niespodziana śmierć zastała Go przy biurku, gdy spisywał wspomnienia z ostatnich ciężkich miesięcy swego ofiarnego życia.

KAZIMIERZ LEPSZY

„SPOWODU HAOSU W ŻECZYPOSPOLITEJ”

Adolf Nowaczyński wygłosił w Poznaniu w dn. 22 marca r. b. konferencję pod tym żartobliwym tytułem. Podajemy poniżej łaskawie nam udzielony przez autora tekst tego interesującego odczytu. — RED.

LAT temu trzydzieści przeszło zostałem zaproszony na uroczyste posiedzenie i jakąś jubileuszową kolację pierwszego Związku czy Koła Esperantystów w Warszawie. Żył jeszcze i przewodniczył temu gronu doktor Zamenhof. Zaproszono mnie, aby do idei przekonać i pozyskać. Przy kolacji toasty, telegramy i deklamacje. Pamiętam, że apostoł adwokat Belmont deklamował esperanckie tłumaczenie ballady Mickiewiczowskiej o „Panu Twardowskim“:

„Sedas, pijas, lukos palas
Danzas, ulakas, swawolas”.

Poczem zaczęto domagać się, abym i ja coś przemówił i zadeklarował się jako wróg albo przyjaciel. Wstałem i w dłuższym wywodzie zadeklarowałem moje wrogie uczucia wobec warszawskiego *volapüčk'u*, tłumacząc co i dlaczego. Nie było to takie łatwe wystąpić wtedy *contra*, jeżeli się zważy, że pierwsi esperantycy to byli fanatycy wprost nieprzytomni, mieli żarliwość i zapał podobny zdaje się do pierwszych neofitów z katakumb. Patrzyli więc na mnie z nietajoną całkiem nienawiścią szczególnie esperantki o krwi ludów wschodnich. Kiedy skończyłem, zapowiadając dalszą walkę, oczywiście cisza kłopotliwa, chrząkanie no i sytuacja bardzo trudna. Wtedy głos zabrał inżynier Grabowski, także tłumacz, zdaje się, całego „Pana Tadeusza”, człowiek niezwykle łagodności i apostoł esperanta z gatunku perswazyjnych nie nastliwych — i, zwracając się do mnie, tak zaczął:

„Nie miejmy za złe panu N., że się do nas wrogo odnosi i zapowiada nam okpiwania. Jest w tem bowiem także i zawiść konkurencyjna. Przecież autor „*Skotopaskas Sowizdrzales*“ już ma swoje własne esperanto i takim esperantem pisze”...

Huragan oklasków szyderczych pokrył słowa mówcy, poczem bracia i siostry w Esperancie już łagodniej zaczęli patrzeć na *heretikas* i *poganinos*.

Od tego czasu dużo czasu upłynęło w Wiśle i dużo niepotrzebnej wody zebrało się w różnych mózgach. Esperanto rozrosło się w wszechświatową potęgę a raczej we wszechświatową fiolę; W wielu miastach i miasteczkach kuli ziemskiej są ulice imienia Zamenhofa, bywa, że i popiersia i pomniki. Co czas jakiś w którejś stolicy odbywają się zjazdy, sztandary, muzyki grają, burmistrze przemawiają, bankiety na tysiąc sztuk, na

których obok delegacji z Afganistanu siedzi delegacja z Abissynji... no a pan jak wygląda panie N.? Niech pan lepiej wcale nie wygląda przez okno i schowa się, kiedy idzie pochód przez ulice, a orkiestry grają ten sam hymn, który rozbrzmiewa i na Majorce, na Madagaskarze? Wróżył pan, że ten baje będzie trwał trzy lata i rozejdzie się po gościach, a tu już trzydzieści lat, no i niby wcale, wcale. Nawet ich więcej jak wegetarjanów, więcej jak filatelistów, więcej jak Mormonów a tylko nieporównanemi mniej jeszcze od jednych! od Brydżystów.

Od tego czasu pozostała też u nas i zrodziła się moc nawet odmian i odgałęzień Esperanta. Są to przeważnie gwary techniczne, dialekty fachów i procederów. Powstało państwo nowoczesne, z niem cały aparat państwowy i do obsłużenia tego aparatu specjalne języki. Jest więc esperanto parlamentarne i drugie administracyjne, esperanto ministerjalne i esperanto samorządowe. Zaistniały podgatunki językowe, gwary marynarzy, żargon narciarzy i bełkot karciarzy. Obok dzielnicowych języków np. łowickiego jest język łowiecki, myśliwski nowoupieczonych Nemrodów czyli niedzielnych pukawek. Jest gwara enferma czyli język starej ale jarej Brygady i Brygadierów i jest żargon legjonu młodych i dzielnych brygantów. Jest całkiem specjalny kauderwelsz Łodzermenszów czyli ludzi z Łodzi i jest oryginalna złodziejska gwara, którą pisze swe powieści najmłodniejszy dziś autor warszawski, Urke Nachalnik. Jest język dzielnego szczepu Kajakowców czy Kajakowatych i jest Majakowatych czyli majakowszczyzna poetów futurystów. Elektrotechnicy mówią po swojemu, a Filmowaci znów po swojemu, kpiarze z trudem rozumieją koniarzy, żokejów, bockmacherów, właścicieli stajni Augiaszowych. Pekaoni mówią, że sobą po pekaonku, Yps po ypsiemu, sekwekastraty po komorniczemu, recydywiści jeszcze gorzej, inaczej. Nafciarz z Borysławia trudno czasem zrozumie co mówi narciarz z pod Babiej Góry podczas gdy Baba kumoterka trudno się orientuje w tem, co mówi do niej Baba Bamberka. Każdy fach, każdy proceder, każda dykasterja z prokuratorami i z włamywaczami włącznie ma swój rodzaj esperanta czasem wprost niezrozumiałym dla innej dykasterji. Kiedy dysputuje trzech chirurgów nad zewłokiem świeżo zo-

perowanego pacjenta, który szczęśliwie zasnął w Panu, nie a nie z tego nie zrozumiesz choć pozornie mówią po naszemu, jak znowu mało co skapujesz, asystując przy sesji rady nadzorczej Towarzystwo Pol-Krach. Wiele do urozmaicenia tego rozesperantowania polszczyzny przyczyniły się oczywiście i te takie skrótów, jak np. Pepege, P.O.W. B.B.W.R., Sim, Sem, Cham, Włast, B.G.K., P.K.O., ale i bez tych skrótów dłużej tego wytrzymać nie będzie można. W każdym jednak razie, gdyby się teraz gdzieś coś obudził z letargu człowiek, który zasnął lat temu naprzykład dwadzieścia i gdyby go świeżo obudzonego i wykapanego posadzić przed radjem przy audycji z meczu piłkarskiego drużyny „Hamadryas” z Będzina z drużyną „Pochronie” z Goryłowa (pod Leżajskiem), to ten letargik, choć tam i po polsku breszą, nie rozumiałby literalnie ani słówka, a po dziesięciu minutach jednak dostałby porażenia mózgowego i z powrotem wpadł w letarg.

Stawia się tu tedy hipotezę, że przez ostatnich lat piętnaście mowa polska wzbogaciła się o 150% więcej słów jak przez poprzednich lat 1500 względnie nawet 1.500. I gdyby wśród nas pojawili się pewnego dnia i Rey z Nagłowic i Jan z Czarnolasu, słuchaliby nas pilnie może całą dobę, wysilali się na zrozumienie, dokładali wszelkich starań, aby wiedzieć naprzykład o co chodziło premierowi Kozłowskiemu, ale wrzecie daliby za wygraną, machnęli ręką i wrócili z powrotem jeden do Nagłowic, drugi do Czarnego Lasu.

Na czoło wszystkich tych nowych eksperantów wybiła się rzecz prosta i jak to być powinno język urzędowy. Ten wzbogacił się jaknajbardziej, i najszerzej i najfortunniej. Tym esperanto *cancelario* posługuje się cała zjednoczona Elita oraz wyższe dziesięć tysięcy doboru doborowych oraz tak zwani *possessionati bene nati*, to jest ludzie urodzeni w maju, a więc *maiores*, niekiedy *minorum gentium*, ale zawsze coś i ktoś.

Jak istnieją tak zwane kwiatki Świętego Franciszka, tak dużo u nas teraz rozkwita *Fioretti di San Biurocracio*, w gwarze ludowej zwane matolki-wesołki. Są już tacy amatorzy koleksjonści, którzy zbierają po grzędach to biuro—i piórokwiecie urzędowej prozy i pakują je w zielniki jako kapitalne okazy tak zwanej z lekarska *partielle Gehirvestopfung* czyli częściowego zatwardzenia mózgu. Obawy żeby to kwiecie cudnej gwary urzędowej kiedyś gdzieś się zatraciło, obawy takie są całkowicie płonne. Szczęśliwym trafem bowiem zaistniał dwa lata temu okólnik oficjalny względnie oficerski M. S. W., rozesłany w milionach egzemplarzy do miliona urzędów, który, zapobiegając zgóry ewentualnemu zniszczeniu czy zagubieniu kwiatów świętego Biurokraca, dysponował dosłownie co następuje:

„Urzednik recypient obliuguje się dokumenty widymowane resortu, przy którym funguje, zawsze inskrybować chronologicznie i wraz z aneksami i adnotacjami prezentować adjutorowi i szef dla wekspedjowania tego widymatu. Relatywy koncepcowane do aktu *à prima nota* należy integralizować we wspólnej obwolucie lub koszulce wraz z notą kartoteki”.

To jest brzmienie dosłowne. Jeżeli teraz ktoś ośmieli się wyrazić wątpliwość co do autentyczności tego okólnika i będzie chciał udowodnić, że to apokryf, to ten, który nam udowodni, że takiego okólnika nie było, będzie miał wypłacone w gotówce tysiąc złotych.

Na zapytanie, czy to już są rekordy urzędowego esperanta muszę odpowiedzieć: niestety chwala Bogu jeszcze nie. Są kwiatki świeższe i wspanialsze, może już nie tyle esperantyzmu ile wogóle stylu i szyku oficjalnej prozy.

Okólnik katowickiej dyrekcji kolei państwowych, sygnowany nazwiskiem Marciszewski, okólnik nr. 21 z 9 sierpnia 1934, pozycja nr. 40 (*sic*) brzmi następująco:

Instytut Propagandy Państwo-twórczej w uczczeniu ohydneho skrytobójczego zabójstwa świetlanej pamięci i t.p. wydał książkę... zawierającą treściwy życiorys Zmarłego, opis zbrodni... i t.p. Cena egzemplarza 2 złote i może być spłacana po 20 groszy miesięcznie. Zamówienia kierować do Instytutu Propagandy Państwo-Twórczej w Warszawie”. Podpisano Marciszewski.

Słowo twórczej nie pochodzi tu od Twoerek czyli wielkiego i znanego zakładu — pod Warszawą ale od tworzyć, wytwarzać, tworzywo, twórczość... „W uczczeniu ohydneho skrytobójstwa”... 20 groszy miesięcznie.

W uczczeniu podobnego języka wyjdzie pono już z wiosną gruba księga-zielnik z kilkuset zaszuszonemi kwiatkami prozy świętego Biurokracego, którego kolebka stała w uroczym kraju Lodomerry, jak to zresztą zaraz poznać po relatywach i recypientach i adjustach, obwolutach, no i koszulkach będących w tem wszystkim motywem sielsko-sielankowym i idyllicznym.

Jak bogata jest i obfitą radosna wyffurczość w tej dziedzinie, to dość powiedzieć, że z ostatniego tygodnia, z ostatnich dni udało się zerwać na grzędzie takie dwie niezapominajki.

W oficjalnym organie jednego z prowincjonalnych maharadzów czytało się w tych dniach apostrofę na pierwszej stronie:

„Zawiadamiamy wszystkie P. T. Firmy, że Administracja przyjmuje już ogłoszenia do specjalnego numeru z okazji imienin Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego, który ukaże się w dniu 19 marca.. w zwiększonej znacznie objętości, w bardzo dużym nakładzie, bogato ilustrowany”.

W tymże samym paszalicu naczelnik gminy w Lipinach, osoba Tomanek, nie Tumanek, Tomanek, rozesłał po swoim powiecie następujące zawiadomienie:

„W celu omówienia i ustalenia programu obchodu imienia i t. p. i t. d. zapraszam drugostronnie naprowadzonych P. T. przedstawicieli miejscowego przemysłu górniczego i hutniczego na posiedzenie, która... i t. p.”

Rzecz prosta, że „w zwiększonej znacznie objętości” oczywiście się nie ukazał, ani jednostronnie ani drugostronnie naprowadzonym, ale najśluszniej i najpiękniej wypiąwszy dumę na te bezmyślne orgje *serwilizmu* wyjechał, za co mu zawołam cześć, chwala i *ad multos annos!*

Przy zaistnieniu jednakże i zapanowaniu takiego baronu wyglądają jak czysta staropolszczyzna Goworka lub Sieciecha, nie można się dziwić, że nie została w tyle i Akademia Naszych Nieśmiertelnych. Skoro bowiem tak oryginalnie i po europejsku redagowane były różne okólniki, wyraźnie i manifestacyjnie lekceważące kanony, a raczej zabobony także i gramatyczne, nie wypadało wprost powołanemu do życia przez Rząd Instytutowi rozmyślnie i niejako prowokacyjnie trzymać się dawnej formalistycznej gramatyki, składniowej i stylistycznej. Stąd też i nieprzeliczone od samego początku w orędziach najwyższego Aeropapagu za-

istniałe dowolności i oryginalności, które wstecz-
niki i reakcjonery pozwolili sobie nazwać sztub-
backiami bykami, bebykami i analfabebykami...

Ostatnio najbardziej efektywnym był komunikat
z występów gościnnych jednego z tych gentleman-
tłów w Rzymie, nie „w tej karczmie co Rzym się
nazywa”, ale w Rzymie autentycznym, o czym Pa-
tachonowi podyktowały Patałachy w ten deseń:

„Powierzono p. J. Kaden Ban. nawiązanie kontaktu
z Królewską Akademią włoską w czasie pobytu w Rzymie
podczas Kongresu Teatralnego... nad projektem zmian do
prawa autorskiego...”

Normalnie biorąc (szablonowo) *bécque a bécque*
na beku i bekiem pogania. Po staremu powinno
być: „by podczas swego pobytu na kongresie tea-
tralnym”... „nad projektem zmian w prawie”... Chcieli
jednak, aby wyglądało nowocześniej i wystylizo-
wali po esperancku, z punktu widzenia zastarzałej,
zaśniedziałej gramatyki po desperancku. To też nic
dziwnego dalej, że skoro tak daleko idzie w uno-
wocześnieniu gwary swych komunikatów Akademią
dożywotnio Nieśmiertelnych, taksamo pozwalają
sobie inni piszący z tego departamentu czy obozu.
Tak naprzykład Janina Schweinbreuner, w paten-
towanym podręczniku historii polskiej dla klas
wyższych szkół powszechnych, zarzuca dwukrot-
nie generałowi Hallerowi, że pod Kaniowem nie
przeszedł... Dniestru, ponieważ po esperancku Dniepr
nazywa sobie swobodnie Dniestrem.

Najznakomitszy krytyk i historyk literacki tej
grupy na stronie 678 swego subwencjonowanego
dzieła pisze:

„Orglizm witalizmu futurystów odpowiada witalizmo-
wi w filozofii i wkraczaniu psychologii w biologię. Ekspre-
sjonizm i futurizm w gloryfikacji biologicznego, psychiczne-
go i socjalnego elementu witalnego poprzez podniesienie
wszelkich objawów życia do jednakiach walorów, poprzez ni-
welowanie ich dyferencyj spotyka się w nihilizmie moral-
nym ze skrajnym materializmem i intelektualizmem... it. p.”

Próbek takiego bełkotu słownego i jazzbandu
werbalnego mogliśmy tu zwalić ze dwie tonny,
względnie ze trzydzieści centnarów, ale tego nie
czynimy, gdyż lada chwila wyjdzie taka antologia
stylistycznych popisów krytykafrów z obozu Analfabe-
ocji północnej, południowej i popołudniowej,
no i czytelnicy amatorzy naużywają się co się wle-
zie. Oburzać się tu niema czego i niema za co
i szkoda czasu i hałasu. Wprost przeciwnie, nawet
wiele, nawet wszystko przebaczyć im można, jeżeli
się zważy i przypomni, że bądź co bądź z pośród
nich wyszedł jednak i sam Ciompa. Może nagrzes-
zył obóz urzędowy w dziedzinie jak to mówią
zachwaszczenia czy zanieczyszczenia językowego,
ale jednak z pośródka nich wyszedł właśnie Ciompa.

I jeżeli na jednej szali położy się wszystkie ma-
karonizmy i galicyzmy i neologizmy i jazzban-
dizmy sanacyjkiej polszczyzny, a na drugiej jedne-
go tylko jedynego Ciompe, to jednak co to ukrywać
dłużej, Ciompa przeważa. Dla jednego tomu jedne-
go Ciompy można przeboleć i całą produkcję i re-
produkcję kilkuset polonistów i kilkuset Chwist-
ków i okólniki wojewodów i orędzia ministrantów
i komunikaty Akademii i całą naszą biedę i bigdę.

Istotnie, jest Ciompie na imię Adam. Tak jak
było pierwszemu człowiekowi no i drugiemu: Mic-
kiewiczowi. Adam Ciompa. Jak się można było do-
myśleć, także z pod Krakowa, a więc jak zawsze
wcześniej czy później geniusz, tym razem wcześ-
niej. Powieść wydał istotnie starozakonnik Mejzels,
ale zato Wojciech, a więc do pewnego stopnia ty-
powo krakowski *pendant* do poznańskiego Świę-
tego Wojciecha. Nosi tytuł: „Duże Litery”. Istotnie
powieść zresztą krótka obraca się koło dwóch liter.
Jedną z nich jest napewno *d*, drugą zdaje się i praw-
dopodobnie *p*. Ale choć Ciompa, Adam Ciompa
jest zdaje się nauczycielem względnie suplentem
i to postępowym, to jednak powieść może służyć
za wzór pięknej i wytwornej polszczyzny. Dlatego
się tu przeciwstawia rozpanoszeniu Esperantyzmu
właśnie nie kogo innego, jak Ciompe, jak czystość
i klarowność Adama Ciompy. I jeżeli tu przeczy-
taliśmy wzory i wzorki prozy, jaką być nie powin-
na, to jest poniekąd naszym obowiązkiem dać także
próbę nowoczesnej a jednak, wykwintnej, może
i erotykowatej, a jednak dyskretniej prozy pisarza,
który wczoraj jeszcze mało znany, a od jutra już
może *nomen magnum*: Adam Ciompa.

A oto fragment z Ciompy, w którym także
zbliżamy się może do tej galicyjskiej „obwoluty” czy
też koszulki, ale jakże dalecy jesteśmy od karto-
teki z... okólnika z M. S. W.

„Obojętna nieprzejrzystość opadłego kraju spódniczki
wesła między odsłonięte przelotnie założeniem nogi, wcho-
dzące w różowe opięcie kombinacji pozakolanowe zgrubie-
nia a me krótkie ściągnięcia w oczach. Nie długie utkwie-
nie przymrużonych źrenic „brabiego” w twych odsłoniętych
aż poza kolana nogach obdzieliło je na chwilę przykrą mi
wyłącznością ciała i dopiero objęcie wzrokiem całej ciebie,
załamanej w dwa szeroko odwrotnie rozwarte kąty, włączyło
je w jednolitą, odcieleśnioną miłość całości. Wysuwając
i wciągając dolną wargę, z uchyłoną ku przodowi głową,
patrzałaś w koniec spiczasty bućka, który na końcu wy-
prostowanej przez siebie nogi zataczał niewielkie koła. Nie-
ruchoma smukłość niegrubej łydki, oddzielonej cienką kost-
ką kostką od wygięta ruchliwej, niewielkiej stopy usamo-
dzieliła się dla mnie w radosny urok niezwykłej w formie
zgrabności”.

Takim jest Ciompa Adam w swym stylu
i w swym szyku.

(Dok. nast.)

ADOLF NOWACZYŃSKI

P I A N I N O

W MAŁYM dworku z kolumnkami, w po-
wiecie sokólskim, stoi stare pianino. Dziś
jest już ono tylko zabytkiem pamiątko-
wym, szanownym, ale martwym sprzętem,
do użytku niezdatnym.

Przechodziło różne koleje. Czasów jego świet-
ności nie pamiętam z tej prostej przyczyny, że
nie było mię wówczas na świecie. Zgórą pięćdzie-
siał temu lat pianino zdołało pewien salon war-

szawski — mieszkanie moich dziadków. Potem
przewieziono je na wieś.

Zanim w roku 1920-tym bolszwicy powyry-
wali połowę strun i napełnili orzechowe pudło
osmiema spożytych ryb, — pianino było już mocno
sfatygowane. Musiałam jednak od czasu do czasu
brzdąkać na niem, żeby zrobić przyjemność dza-
dziowi. Napewno nikomu, poza dziadkiem, te po-
pisy nie sprawiłyby przyjemności... Grałam „Ave

Marla" Gounoda, jakąś parodję szopenowskiego nokturnu, jakiś jeszcze temat warjacyj, — słowem to wszystko, co mi pozostało w pamięci z dawnych czasów, z okresu moich wirtuozowskich aspiracyj...

Krzywiąc się, naciskałam skrzypiące pedały. Kręciłam nosem, gdy klawisze wydawały nieoczekiwane i zgoła niepożądane tony. Urywałam w pół taktu i mówiłam z rozpaczą:

— Ono jest niemożliwe, dziadziu!

A dziadzio odpowiadał niezmiennie:

— Wydaje ci się, duszko.

— Wecale mi się nie zdaje, dziadziu. To straszny gruchot! Połowa klawiszy nie odpowiada, a reszta!..

Wówczas przerywał mi tonem jednocześnie pełnym humoru i dumy:

— Na tym gruchocie, duszko, grał największy pianista świata — i nie narzekał.

Istotnie tak było. Tylko minęło wiele lat od czasu, gdy na dziadziowym pianinie grywał blady młodzieniec. Nad szafirowymi oczami, nad mądrym czołem wicherzyła się niesforna, bujna czupryna, niby olbrzymia, złocista chryzantema. Młody człowiek nazywał się Ignacy Jan Paderewski. Był uczniem warszawskiego Konserwatorium. Bardzo zdolnym uczniem, ale i bardzo niezamożnym. Nie posiadał wówczas nawet własnego pianina. To też ćwiczył się, gdzie mógł — u znajomych, u przyjaciół, u krewnych, a więc i w domu dziadków moich powtarzał niestrudzenie trudne pasaże i palcówki.

Później, gdy Paderewski doszedł do szczytu sławy, gdy jego imię obiegło cały świat, — dziadzio lubił opowiadać historję skromnego pianina, nadmieniając, że malutką bodaj częścią swojej wspa-

niałej techniki zawdzięcza mistrz niezrównany starszkowi z orzechowego drzewa!

Minęło jeszcze sporo lat. Dziadzio umarł. Pianino milczy miesiącami. Czasem, nocą jesienią, jakaś struna wyda cichy, przeciągły jęk. To myszy, cisnące się do domu z opustoszałych pól, harcują między młoteczkami...

Obecnie najczęstszym bodaj gościem w białym dworku jest sekwestrator. Człowiek ten nie ma nic wspólnego z poezją wspomnień. To też pewnego dnia opisał pianino bardzo niepoetycznie: w protokule zajęcia za jakieś zaległe podatki. Gdy nadszedł termin licytacji, sekwestrator zjawił się w towarzystwie sołtysa. Ani mowy, aby wszystkie posiadane w domu pieniądze pokryły chociaż połowę należności. Pianino musiało pójść „pod młotek”... Sekwestrator odwiózł je do miasteczka osobiście. — Na klekoczącym, chłopskim wózku szanowny sprzęt chwiał się rozpaczliwie i trzeszczał. Od czasu do czasu sfatygowane struny wydawały cichy, żalospny dźwięk. Może pianino chciało przypomnieć ludziom swą świetną przeszłość?

* * *

Kupiłam je na licytacji, podbijając cenę do sum zawrotnych. Trzysta sześćdziesiąt złotych! Nie było tyle warte nawet w oczach sekretarza magistrackiego. Niski, pękaty człowieczek miał aspiracje artystyczne: grywał polki, fokstroty i nawet — modne wówczas rumbi. Zamierzał nabyć pianino, ale ostrygił w zapale: przelicytowałam go o całe 5 złotych!

Gdyby wiedział!.. Gdyby wiedział, że na tem samem pianinie, na tem samutkiem — grał kiedyś Ignacy Paderewski!

WANDA MIŁASZEWSKA

ALEKSANDER PUŞKIN

P R O R O K

Zgłodniały w duchu do utraty
Ducha,—poszedłem w puszcę ciemną;
Serafin po sześćkroć skrzydlaty
Wtenczas pokazał się przedemną.

Lekko, lżej niż wldziadło we śnie,
Mych oczu dotknął bezeleleśnie:
Bystre się wtedy stały one
Jako orlicy wzrok spłoszonej.

Dzwonnym odgłosem moje uszy
Napełnił, gdy je palcem ruszył.

Odtąd, jak światło z nieba spływa,
Słyszę—i słyszę duchów przelot,
Słyszę ryb mowę pod topielą,
Słyszę jak łożę mróz okrywa.

Ust sięgnął chwytem rąk anielich
I wyszarpnąwszy z mej gardzieli
Język, skalany mową podłą,—
Mądrość węzową dał i żądło.

Potem pierś mleczem mi rozszekał,
Serce przez wymiółł Seraf Boży
I węgiel gorejący włożył
W otwartą do dna pierś człowieka.

Leżałem,—trup nieopgrzebany,—
Aż Pan odezwał się nad Pany:
„Powstań, proroku! Patrz i słuchaj:
„Będziesz narzędziem woli Bożej;
„Okrążaj ziemię, przepłyń morze,
„Słowem jak żagwią wzniecaj ducha!”

przełożył STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Historycy fachowi i niefachowi. — Wpływ i powodzenie tych ostatnich. — „Historja świata” H. G. Wellsa. — Jej zalety i braki. — Przekład J. Parandowskiego.

NIEMA, oczywiście, uczonego specjalisty, który odważyłby się napisać „Historję świata”. Zadanie takie, w naukowy sposób podjęte, musiałoby być — rzecz prosta — dziełem zbiorowym. Ale nawet jeśli chodzi o drobniejsze fragmenty dziejów, czyż dla dobrego namalowania ich wizerunku wystarczyć może sama jedynie umiejętność fachowa, erudycja, metoda? Obraz przeszłości, jeśli nie ma być wyłącznie zgromadzeniem źródeł historycznych, jest zawsze — do pewnego stopnia — wizją, sztuką czarnoksiężnika, wywołującego z mogił widma zmarłych, żeby raz jeszcze przed patrzącymi powtórzyły przeżyte niegdyś przez siebie chwile. Czyż nie konieczna jest do tego magia wyobraźni, intuicyjna zdolność widzenia, a więc poprostu, czyż nie konieczne są: przenikliwość myśliciela oraz talent pisarski artysty?

Tem też zapewne tłumaczy się wpływ i powodzenie, jakie w społeczeństwach zachodnioeuropejskich zdobyły sobie w ostatnich czasach ksiądzki historyczne, pisane nie przez zawodowców — uczonych, ale przez autorów takich, jak G. K. Chesterton („*A short history of England*”), publicysta J. Bainville („*Histoire de France*”) i in. Niemalby sukces w krajach cywilizacji anglo-saskiej osiągnął również znakomity powieściopisarz H. G. Wells swoją „Historją świata” (w dwu wersjach: obszerniejszej i skróconej), obejmującą czas od wytworzenia się układu słonecznego aż do wydarzeń politycznych doby ostatnich.

Wells jest niewątpliwie artystą dużej miary. W szeregu powieści swoich i nowel dowiódł niezbie daru poetyckiego wniknięcia, wyjątkowo żywej imaginacji, zdolności przedstawienia charakterów ludzkich, odczuwania duchowej atmosfery. Tam, gdzie zbliża się do tematów, z którymi jest zżyty głębiej, karty „Historji” jego nabierają wyrazistości i siły suggestywnej, dmie z nich twórczy, orzeźwiający powiew talentu. Oto np. zakończenie rozdziału p. t. „Nauka Jezusa”:

„Był to groźny moralny łowca, który ludzkość wypłaza z mateczników, gdzie dotychczas wygodnie siedziała... Czyż można się dziwić, że ludzie oszołomieni i oślepieni krzyżem przeciw niemu? Nawet uczniowie krzyżem, gdy ich parł w zbyt wielki blask. Czyż można się dziwić, że kapłani zrozumieli, iż między nim a nimi niema wyboru, że albo on zginie, albo całe kapłaństwo? Czyż można się dziwić, że żołnierze rzymscy, stanawszy w osłupieniu wobec rzeszy, których nie rozumieli, a które zagrażały wszystkim zasady ich życia, szukali ucieczki w dzikim śmiechu i założyli mu wieniec cierniowy i dali szatę z purpury, robiąc zeń Cezara na pośmiewisko? Albowiem kto go brał poważnie, ten jednocześnie wstąpił w obłąkany świat niewspokojonego życia, musiał przeczekać dotychczasowe zwyczaje, pako- wać nad instynktami i popędami, próbować niewiarogodnego szczęścia...”

Naogół wszakże to duchowe życie się z przedmiotem nie cechuje „Historji” Wellsa, raczej przeciwnie, wydaje się ona zbiorem faktów, zgromadzonych naprędce, z encyklopedyj i podręczników, a często nawet podanych w formie nieprzetrawionej, w postaci pośpiesznie przepisano- go cytatu. Tylko niekiedy te opisy zdarzeń hi-

storycznych okraszane są jakąś trafną, lub przy- najmniej interesującą uwagą.

Ambicją Wellsa — widać to wyraźnie — było przedstawić „Historję świata” ze stanowiska ogólnoludzkiego, na rolę własnego narodu usiłuje spoglądać zzewnątrz, jakgdyby nawet demonstrować chwilami popisując się swym najdalej posuniętym obiektywizmem. W rzeczywistości jednak jest on nie tylko Anglikiem, ale, w dodatku, Anglikiem reprezentatywnym, typowym. Wystarczy spojrzeć na argumenty, jakimi zwalcza np. celibat w Kościele katolickim, ażeby stwierdzić, że horyzont umysłowy pisarza, to — w gruncie rzeczy — tradycyjny, zaściankowy nawet pogląd na świat przecięt- nego angielskiego protestanta.

„Ogólnoludzki” punkt widzenia sprawił, że nazbyt dużo stosunkowo uwagi poświęca Wells olbrzymim a krótkotrwałym tworum państwowym, jak np. monarchje: Aleksandra Wielkiego, Dżengis-Chana, Karola V — nie ukazując ciągłości rozwoju historycznego ludów, epizodycznie w skład tych przemijających zespołów włączanych. Ta błędna droga w poszukiwaniu jednolitego obrazu dziejów świata czyni z nich właśnie serję przypadkowych zupełnie zdarzeń, prowadząc nadto do zabawnych częstokroć dysproporcji przy ocenie- niu ich wartości i znaczenia. Tak np. kwestja gustów kulinarnych i zamiłowanie do uroczystości pogrzebowych u cesarza Karola V zajmują w „Historji” Wellsa więcej miejsca, snadź wydają się autorowi czemś donioślejszem znacznie dla dziejów ludzkości, aniżeli cały w nich tysiącletni wkład i udział — narodu polskiego.

Ale to nierozeznawanie dróg rozwoju historycznego w przeszłości ma swoją przyczynę głębszą: jest nią, mianowicie, wellsowskie pojęcie ideała, do którego ten rozwój winien prowadzić. Ideał ten tak oto zarysowuje się autorowi na ostatniej karcie jego księgi:

„Czyż możemy wątpić, że ludzkość urzeczywistni kiedyś nasze najśmielsze marzenia, że osiągnie jedność i spokój, czyż możemy wątpić, że plemię z naszej krwi żyć będzie na świecie, bardziej wspaniałym i bardziej rozkosznym, niż najwspanialszy pałac lub najrozkoszniejszy ogród, jaki znamy, i wznosić się na coraz wyższe szczyble mocy w rosnącym kręgu dążeń i osiągniętych celów”.

Trochę tu jakgdyby... raj Mahometa, trochę też... „nowego wspaniałego świata” Huxley’a. W istocie zaś — to powszechny dość na Zachodzie Europy ideał warstwy burżuazyjnej, wychowanej w pojęciach materialistycznych, ideał komfortu i spokoju.

Bo tego świata i jego sposobu myślenia jest Wells w swojej „Historji” wyrazicielem. Bardzo znamieny jest pod tym względem jego opis wojny 1914—1918, gdzie ani męka ani bohaterstwo żołnierzy nie zostały wogóle ukazane, a cały nacisk położył pisarz na te przykrości, jakich doznawał „spokojny obywatel” poza frontem:

„Tak eksponowane miasta, jak Londyn i Paryż, nie miały ani jednej noey spokojnej: bomby pękały nad głowami ludzi, specjalne armaty do zestrzeliwania samolotów napełniały miasto nieznośnym grzechotem, straż pożarna i karetki pogotowia przelatowały po ciemnych i pustych ulicach. Wypadki te szczególnie ujemnie oddziaływały na umysł i zdrowie ludzi starszych i dzieci”.

Mimowoli przypomina się ów francuski kupiec korzenny, który w r. 1917 pisał z Paryża do kuzyna swego, walczącego w pierwszej linii okopów pod Verdun: „...i podczas kiedy wy tam sie-

dziecie sobie bezpiecznie w transzejach, my tu, w stolicy, bez przestanku narażamy nasze życie, zdani na łaskę pierwszego lepszego Zeppelina..."

"Historja świata" Wellsa (w tekście skróconym) ukazała się obecnie po polsku w wydawnictwie księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego, w serji „Biblioteka Wiedzy” (tom 14). Przekład dokonał Jan Parandowski, stylem żywym, niekiedy nawet pięknym, korzystnie odróżniającym się od żargonu pp. Krzywickich, Wand Kragen i t. p. Niestety jednak, utalentowany pisarz nie zawsze rozumiał dokładnie, co tłumaczył. Tak więc czytamy (str. 286), że „Utopja” sir Tomasza More'a „wywarła swój wpływ na biedne prawodawstwo angielskie”. W oryginale jest „*english poor law*”, co znaczy tylko: „prawo ubogich”, „prawo o opiece społecznej”, gdyby zaś Wells chciał to powiedzieć, co tu p. Parandowski wyczytał, musiałby wówczas wyrazić się inaczej, mianowicie: „*poor english law*”. Ale wogóle nie było przecież żadnej potrzeby tak się litośnie nad „biednym prawodawstwem angielskiem” roztkliwiać...

JAN REMBIELIŃSKI

G Ł O S Y

W CHWILI, gdy cała polska Łódź toczy walkę o narodowe oblicze nietylko miasta, ale i całej Polski, warszawski „Świat” uważa za stosowne parę kolumn poświęcić tej innej Łodzi, wysuwając ją nawet na plan pierwszy. Na manifestacje ludności robotniczej polskiej odpowiada się kontrmanifestacją...

Przeczytajmy zamieszczone pod fotografią komisarza rządowego p. Wojewódzkiego jego słowa, a zrozumiemy wszystko:

„...Niewielka liczba ludzi zamożnych całkowicie rekompensuje kilkuset tysięczną armję robotniczą, która nawet w t. zw. dobrych czasach w większej mierze potrzebuje opieki samorządu, aniżeli może świadczyć na rzecz tego samorządu. A gdy weźmiemy czasy obecne, czasy kilkuletniego kryzysu ekonomicznego, to musimy dojść do przekonania, że ten stosunek ilości świadczących do potrzebujących usług samorządu znakomicie się powiększył”.

Już teraz wiemy, co „rekompensuje kilkuset-tysięczną armję robotniczą”, więcej nawet: co przeważa tu szalę. Dla całkowitego wyjaśnienia podajemy nazwiska osób, których podobizny zamieścił „Świat” pod wymownym nagłówkiem „Kapitanowie Łodzi”. A więc: Aleksander Heiman-Jarecki, prezes sp. akc. „Wola”, prezes zarządu Zw. Przem. Włók. w państwie polskim, „jedna z najwybitniejszych indywidualności współczesnej przemysłowej Łodzi i konsekwentny szermierz hasła liberalizmu i zdrowych myśli ekonomicznych” (!), gen. dr. Feliks Maciszewski, prezes Izby Handl.-Przem., dr. Juljusz Bornet, vice-prezys sp. akc. M. Silberstein i Piotrkowska Manufaktura, Naum Etingon, Maks Kon, Arnold Jan Lewin, K. T. Buhle, Oskar Kon (z t. zw. „patrijchalną brodą”), Władysław Lewicki, Edward Babiański, Juljusz Lewstein, prezes legjonu Berka Joselewicza, Karol Juljusz Buhle, Juljusz Abramowicz, Adolf Hage, Gumkowski, Józef Weissfeld, Józef Żurkowski, Jakób Kafeman.

Oto „kapitanowie polskiego Manchesteru”! Między trzema fotografiami, otwierającymi tę galerję (wojewody i komisarza rządowego), znajduje się i podobizna posła Józefa Wolczyńskiego z objaśnieniem: „dyr. znanych wielkich zakładów przemysłowych, Sp. Akc. I. K. Poznański, przewodniczący koła radnych BBWR, w radzie miejskiej m. Łodzi”.

Już chyba teraz w całej pełni rozumiemy, dlaczego tenże poseł Wolczyński z zaparciem się siebie składał deklarację protestującą przeciwko uchwaleniu t. zw. „paragrafu aryjskiego”.

I chyba również zupełnie rozumiemy pojęcie „elity” (od kapitanów wzwyż) i „szarego człowieka” (owe małoważące kilkuset-tysięczne armje...)

Jakże w tem świetle prawdziwie wyglądają słowa wojewody Hauke-Nowaka, który pod swoją fotografią napisał:

„...Ludność województwa łódzkiego, mimo ciężkich warunków życia, z wielką godnością znosi swój los codzienny, krzepiąc się wiarą w lepsze jutro, szukając sił w głębszych wartościach swej duszy i serca”...

Niema to jak słowa uznania od politycznego przeciwnika!

R OZLEPIONO NA MURACH STOLICY odezwę komitetu, złożonego ze sfer sanacyjnych, wzywającą mieszkańców do ukwiecania okien i balkonów. Jak każdy niemal występ „sanacji”, tak i ten odznacza się efektowną blagą i całkowitym brakiem poczucia rzeczywistości. Odezwa głosi, że jak Rzym jest nazywany „miastem wiecznym”, Paryż — „miastem światła”, Haga — „miastem tulipanów”, tak Warszawa stanie się „miastem kwiatów”. Uczyni to komitet wsparty o kilka towarzystw zawodowych i społecznych, oraz dobra wola właścicieli okien i balkonów.

Przed kilku laty ówczesny sprawozdawca „Myśli Narodowej” z dziedziny sztuk plastycznych, p. St. Pieńkowski niejednokrotnie sprawę ukwiecania domów warszawskich omawiał i wzywał różne towarzystwa, jak np. Warszawskie Towarzystwo Ogrodnicze i Towarzystwa Kobiece do rozwinięcia szerokiej w tym kierunku propagandy. Lecz jednocześnie wskazywał na istnienie trudności, których narazie żadna siła usunąć nie zdoła, mianowicie, między innymi, na przestarzałą konstrukcję okien warszawskich. Powtórzmy tu („swojami słowami”) główny jego wywód o oknach.

Szumna odezwa szumnego komitetu, podpisana przez szumne nazwiska i szumne stanowiska, pamięta o Rzymie i Krymie, ale całkiem nie zna Warszawy. W tej mocarstwowej stolicy dziewięćdziesiąt dziewięć na sto okien otwiera się nazewnątrz, ku ulicy, i już z tego jednego powodu okna te nie mogą być kwiatami i roślinami zdobione. Z pozostałego zaś jednego procentu okien, które otwierają się do środka mieszkań, dziewięćdziesiąt dziewięć na sto nie posiada kwiatnic w murze, ani występów równych lub umocnień, na których można byłoby ustawić kwiatnice lub bodaj donice. Tym sposobem tylko wyjątkowe okna mogą usłuchać wezwań szumnego komitetu, a i te istnieją przeważnie na krańcach, w nowo zabudowanych i zamożniejszych miasta dzielnicach. Nieliczne zaś balkony, gdyby je nawet przystosowano do hodowli kwiatów, nie uczynią „miastą kwiatów” z tego, (jak ulice Wspólne i Chmielne nazwali architekci), „miasta murowanych warjatorów”.

Nie mamy nic przeciw propagandzie ukwiecania domów, okien, balkonów, owszem — będziemy ją popierali, ale nie chcemy, żeby jakakolwiek propaganda traktowała obywateli miasta, jak ludzi naiwnych, którym można pleść duby smalone. Warszawa — „miastem kwiatów”! Ta stolica brzydoty i smutku, ciasnoty i brudu, pozbawiona opieki społecznej, zdrowotnej, praktycznej i estetycznej, stołeczne miasto gruźlicy i rachityzmu — naraz, za dotknięciem różdżki sanacyjnej prześciga Florencję wszelkie i Niceję! O, błogo wyższa! Błogo radosnej twórczości!...

POLSKA BIOGRAFJA NARODOWA

PRZEWLEKŁY spór między gronem lwowskich historyków z prof. S. Zakrzewskim na czele, którzy wystąpili w r. 1929 z inicjatywą wydania polskiego słownika biograficznego, obejmującego tylko czasy porozbiorowe, a historykami krakowskimi (prof. Wł. Konopczyńskim, S. Kotem i in.), którzy domagali się, aby polska biografja narodowa ogarnęła całe tysiącletnie nasze dzieje, został szczęśliwie rozcięty przez Polską Akademię Umiejętności.

Najwyższa nasza instytucja naukowa zdecydowała się poprzeć stanowisko krakowskich uczonych i podjęła wydawnictwo „Polskiego Słownika Biograficznego”, obejmującego nie tylko czasy niewoli, ale całość historii Polski ze szczególnem uwzględnieniem świetnych kart naszych przedzobiorowych dziejów.

Dyskusje ustały, do dzieła zabrał się rażno powołany przez P. A. U. komitet redakcyjny z prof. Wł. Konopczyńskim, jako redaktorem głównym, na czele. W skład komitetu weszli m. in.: prof. R. Grojecki (Kraków), prof. O. Halecki (Warszawa), prof. S. Kot (Kraków), prof. M. Kukiel (Kraków), prof. W. Tokarz (Warszawa), dyr. A. Wojtkowski (Poznań) i in. Sekretarzem komitetu został młody historyk krakowski dr. Kaz. Lepszy. Nad całością czuwa wielogłowa Rada Słownika, złożona z prezesa P. A. U., delegatów towarzystw naukowych i członków, powołanych przez Zarząd Akademii.

Przyjęto system angielski, alfabetyczny, a nie holenderski od A — Z w każdym tomie; słownik zawierać będzie tylko życiorysy osób nieżyjących, które odegrały rolę w życiu politycznym, społecznym i kulturalnym narodu polskiego.

Prace komitetu redakcyjnego posunęły się szybko naprzód. Zarejestrowano w kartotekach przeszło 60.000 nazwisk wybitniejszych Polaków, z czego wejdzie do słownika około 20.000 związanych życiorysów z charakterystyką ludzi oraz podaniem bibliografji i źródeł.

Dziś leżą już na półkach księgarskich dwa wspaniałe zeszyty Polskiego Słownika Biograficznego, wydane na pięknym, bezdrzewnym papierze, po blisko 100 stron dwuszpaltowych, formatu 4-o liczące.

Otrzymaliśmy więc wreszcie tak potrzebne i cenne wydawnictwo, które dostarczy podręcznej informacji zarówno uczonym, jak szerokiemu ogółowi inteligencji, nadto wskaże czytelnikom drogę do sprawdzania, rozszerzania i pogłębiania zawartej w słowniku wiedzy.

Rażące zaniedbanie zostanie naprawione. Będziemy wreszcie mieli polską biografję narodową tak, jak ją już posiadają nie tylko narody „wielkie”: Anglicy, Niemcy, Francuzi, Włosi, Rosjanie, Amerykanie, ale i „małe”: Belgowie, Duńczycy, Holendrzy, Szwedzi, Słowacy i t. d.

Dwa pierwsze, starannie wydane zeszyty „P. S. B.” zawierają wszystkie życiorysy na A oraz kilka biografji na B do Babińczyka Adama. Przeczytaliśmy obydwa zeszyty jednym tchem, tyle w nich ciekawych faktów i wiadomości, podanych przez pierwszorzędných znawców przedmiotu w sposób zwięzły i jasny. Niektóre życiorysy rozrosły się do rozmiarów małych, świetnych, monografji. Inne celują lapidarnością, jeszcze inne barwnym stylem, pozbawionym jednak cech gadulstwa: zgóry przepisane przez redakcję rozmiary życiorysów nie pozwalają na to.

A potem, co za bogactwo typów ludzkich, co za różnaitość postaci historycznych! Przed czytelnikiem przesuwają się cały rój ludzi, którzy na przestrzeni tysiąca lat naszych dziejów odegrali wybitną rolę, bądź błogosławioną, bądź złowrogą.

Dowiadujemy się więc o świętym mnichu, Andrzeju Świeradzie, patronie Słowacji, który żył na przełomie X i XI w. i rozwijał działalność misyjną na Podkarpaciu w południowej Polsce i na górnych Węgrzech? W słowniku znajdziemy doskonały życiorys tego świętego, napisany przez prof. Wł. Semkowicza.

Poznajemy również żywot Adelajdy, siostry Mieszka I a żony Gejzy węgierskiego, zwanej „Białą kneginią”, czytamy o uczniu i przyjacielu św. Wojciecha: Astryku-Anastazym, który wraz ze swym mistrzem nawracał Czechy, Polskę i Węgry na chrystjanizm.

A obok tych mało albo wcale nieznaných postaci, związanych z początkami naszego państwa, cały korowód wybitnych Polaków i Polek z wieku XII i następnych aż do niedawno zmarłych: Abramowskiego Edwarda i Adama Ernesta (doskonała charakterystyka pióra Zdz. Próchnickiego).

Życiorysy królów i książąt przeplatają się ciągle z życiorysami wynalazców, wodzów, pisarzy, księży, działaczy społecznych i politycznych, lekarzy, malarzy, profesorów, teologów, inżynierów, muzyków, wojskowych i t. p. Co krok czytelnik robi jakieś odkrycie, znajduje jakąś ciekawostkę i chętnie wraca do raz już przeczytanej biografji, wybierając z tłumy znakomitych Polaków tych, z którymi żył się bliżej w czasie lektury.

Nie bez ciekawości przyjrzy się również czytelnik galerji wolnomularzy polskich, którzy znaleźli się w dwu pierwszych zeszytach „P. S. B.” Jeden od drugiego ciemniejszy typ. Naprzód dwaj bracia Abramowicze. Ignacy (1793 — 1867), założyciel loży masonskiej „Szkoła Sokratesa” w Wilnie, zrazu dzielny oficer polski, brał udział w kampanjach napoleońskich, potem renegat, otoczony wzdąką, służył w armji rosyjskiej i znęcał się nad rodakami. Mikołaj (1788 — 1835) należał do wileńskich łóż masonskich, a w czasie procesu filareckiego wysługiwał się Nowosilcowowi, a potem gubernatorom wileńskim. Życiorysy Abramowiczów skreślił ze znawstwem prof. Henryk Mościcki. Trzeci mason, opisany w P. S. B., to Aloe (d’Aloy) Eljasz, współpracownik Ign. Potockiego, zakładał z nim Wielki Wschód Narodowy i był członkiem Najwyższej Kapituły aż po r. 1821. Protektorowi swemu miał się później odplacić zdradą, informu-

ąc o poczynaaniach Potockiego Bułhakowa. W czasie powstania Kościuszkowskiego należał do skrajnego skrzydła t. zw. jakobinów polskich. Podejrzewano go wówczas, że był agentem Igelströma.

Jeszcze znaczniejszą postacią w polskim wolnomularstwie był (zrazu sekretarz Andrzeja Mokronowskiego, od r. 1784 wielki mistrz Wielkiego Wschodu Narodowego Polskiego) — Aubert Józef, dyplomata. Wysłannik rządu francuskiego odrazu służył kilku panom. Był zaufanym Stanisława Augusta i Francji, a równocześnie utrzymywał kontakt ze Stackelbergiem i służył interesom Rosji. Po dymisji ze stanowiska sekretarza poselstwa francuskiego przeszedł odrazu do służby rosyjskiej i został radcą poselstwa rosyjskiego w Warszawie. Oddał duże usługi Sieversowi, donosząc mu o wszystkich krokach króla, prymasa, tropiąc jakobinów i t. p. Znakomite życiorysy d'Aloy i Auberta wyszły z pod pióra prof. W. Tokarza.

Z obszerniejszych życiorysów zasługują na uwagę następujące:

Ad. Asnyka przez prof. Ign. Chrzanowskiego, Anny Jagiellonki przez prof. W. Sobieskiego i dr. K. Lepszego, Andrzeja Łaskarza przez dr. K. Piotrowicza, Albrechta Hohenzollerna przez Stan. Bodniaka, Aleksandra Jagiellończyka przez prof. Fryd. Pápée'go, Aleksandra I przez prof. Janusza Iwaszkiewicza, Augusta II Mocnego przez doc. Józefa Fiedmana, Augusta III przez prof. Wład. Konopczyńskiego i in.

Nie wątpimy, że tak ciekawe wydawnictwo znajdzie szerokie rozpowszechnienie w myślących sferach polskiego społeczeństwa.

Prenumerata wynosi za 5 zeszytów rocznie — 25 zł. Zamawiać można „P. S. B.” w Polskiej Akademji Umiejętności, Kraków, ul. Składkowska 17 i w większych księgarniach (Gebethner i Wolff i in.).

TAD. B.

ZE ŚWIATA SZTUKI

WYSTAWA POLSKIEJ SZTUKI GOTYCKIEJ

(Wrażenia ogólne)

GDY warszawianin, w Wielkim Tygodniu, zwiedzając Groby w licznych kościołach stolicy, znajdzie w tym samym czasie do IPSu, na wystawę „Polskiej Sztuki Gotyckiej”, ciągłość wrażeń i wzruszeń, jakich doznawał, nie ulegnie przerwie i nie zmieni kierunku. Bowiem uczucie, które nim tutaj zawładnia, przy oglądaniu wielu dzieł sztuki, zwłaszcza rzeźb, nie będzie tym razem natury wyłącznie estetycznej. Wszystkie dzieła, umieszczone na tej wystawie, są utworami sztuki religijnej w sensie formalnym, przynajmniej połowa — w rozumieniu daleko głębszem, gdyż z ducha, uczucia i wiary, a nietylko wiedzy swoich twórców poczęte.

Utwór plastyki, o wielkiej sile wyrazu, to nieczęsty gość na dzisiejszych wystawach, i jeśli tu jego siła tak często nas zniwala, przyczyna nie tkwi jedynie w fakcie, iż był on jedną z cech znamienych epoki gotyku. Przeobrażenia pojęć estetycznych tej epoki niewątpliwie sprzyjały wzrostowi wyrazu w dziełach sztuki, zrywając z oficjalnością hieratycznego ukształtowania utworu plastyki, lecz w ten sposób zerwana została jedynie tama, a siła uczucia, która wtenczas ujawniła się w pełni, bra-

ła swoją moc z dusz twórców. Ona to sprawia, że doznajemy wobec tych dzieł niejednokrotnie wzruszeń daleko głębiej sięgających, niż te, któreśmy przeżyli w obliczu arcydzieł najbardziej słynnych mistrzów. Pozostając pod urokiem pierwszego wrażenia, narazie nieskorzy jesteśmy do pytań: jak to jest zrobione, jakie ma cechy stylowe, z którego roku, mniej więcej, może pochodzić?

To też niech mi będzie wolno, na początek, podzielić się z czytelnikiem memi wrażeniami, oraz udzielić pewnych niezbędnych informacji co do samego sposobu urządzenia wystawy. Wystawa obejmuje malowidła i rzeźby w drzewie, z okresu od 1320 do 1530 roku. Przeszło dwa stulecia! — szmat czasu; różnice między poszczególnymi dziełami wiek i geografia również tłumaczą: w jednej z rzeźb możemy się jeszcze dopatrzeć wpływów epoki romańskiej, inna już wkracza w renesans, tu wykrywamy wpływy niemieckie, tam — czeskie. Ale nie te różnice wydają mi się najistotniejsze. Różni te prace przedewszystkiem skala możliwości twórczych ich autorów. Tak jest, chociaż ten okres przekazał nam tyle dzieł anonimowych i zamykał sztukę artystów w granicach, daleko ściślej niż dziś, ustalonych kanonów. Jedną z Madonn i jedną z licznych postaci Matki Boskiej Bolesnej dzieli np. przestrzeń zaledwie 20 lat, a jakąż przepaść między temi rzeźbami! Matka Bolesna (Nr. 27) to dzieło prawdziwego natchnienia i doświadczonej dłoni, postać o geście pełnym wyrazu, gdy tymczasem tę drugą (Nr. 10) cechuje zupełna niezdarność. Ani wyrazu, ani umiętności. Zachwyty nad tego rodzaju rzeźbą są zwyczajnym snobizmem; naumyślnie o tem wspominam, bo i takich snobów spotkamy zapewne na wystawie. Ci, rozniecając fałszywy entuzjazm wokół utworów niegodnych uwagi, nie będą w stanie pojąć wartości dzieł, naprawdę wielkich.

Lekarze znają sposoby badania wrażliwości ludzkiej i prawdopodobnie posługują się jakąś naukową metodą, określając jej natężenie. Ja nie wiem, jaka jest rozpiętość tej skali, ale zato jestem pewien, iż niewiele osób zdoła przejść obojętnie obok grupy, wyobrażającej zapamiętałą w cichej boleści Matkę Bożą i Świętego Jana, który ją podtrzymuje, fragmentu wielkiej kompozycji: „Pochodu na Golgotę”. Wspomniałem już na początku, że przeżycia, których nam dostarczą niejednokrotnie dzieła rozmieszczone na tej wystawie, niezawsze będą natury wyłącznie estetycznej. Surowy klasyk współczesnej estetyki wystąpić tu może z pewnymi zastrzeżeniami. Powie zapewne: „szanuję pańskie wzruszenia, ale niechże pan rozważy, czy one są wynikiem czystej kontemplacji dzieła sztuki i czy skala tego wzruszenia jest naprawdę odpowiednikiem skali jego wartości plastycznych? Widzi pan tu matkę cierpiącą, której pan współczuje (humanitaryzm) dalej: głęboko są w panu zakorzenione tradycje kultury chrześcijańskiej i one zapewne, jeszcze wraz z pańską religijnością (nie znam jej natężenia), czynią zeń podatny grunt dla tego rodzaju przeżyć. Pięknie, — ale mnie obchodzi inna kategoria przeżyć, wywołanych wartościami jedynie plastycznymi, bez żadnych domieszek”.

Zapewne, ale czyż mam za każdym razem, wobec każdego doznania dzielić się na cząstki, zależnie od jego kategorii. Nie kwapię się do wykrywania granic, gdzie kończy się we mnie artysta, a zaczyna chrześcijanin. Czyż nie jest to najwyższym przywilejem plastyki, iż może zbliżyć nas

nietylko do sztuki, ale i do Boga? Czyż nie jest czystem szaleństwem myśleć inaczej? Czemże to zniewala nas wspomniane dzieło, czy jakimiś sztuczkami? Pierwszy lepszy tępak tak rzeźby ukształtować nie potrafi.

Najczęstszym epitetem, w ustach dzisiejszego plastyka, są słowa: to smaczne, a tamto przyjemne. W owych czasach nie tworząno dzieł dla pustej igraszki smakowitości plastycznych. Dziś o pewnej gałęzi sztuki mówi się, że „użytkowa”, bo z inną (obrazami) niewiadomo co robić. Wtenczas wszystko w sztuce było użytkowe: stołek dla ciała, obraz i rzeźba dla duszy. I dlatego artyści nie byli piętami kołem u wozu.

Wystawa gotycka w IPSie gromadzi około dwustu prac, z zakresu rzeźby i malarstwa. Rozpoczyna ten zbiór „Chrystus Ukrzyżowany”, z kościoła w Starogardzie (1320 r.), dzieło ziemi pomorskiej, — kończy wizerunek Sw. Trójcy (tempera), z kościoła Sw. Ducha w Sieradzu, obraz wykonany w początkach XVI wieku. Wielu dzieł na wystawę dostarczyły muzea: warszawskie, wielkopolskie, toruńskie, oraz liczne muzea djecezyjalne i kościoły. Najpełniej zobrazowana została na wystawie sztuka zachodniej Małopolski, Wielkopolski i Ziemi Chełmińskiej.

WIKTOR PODOSKI

T E A T R

JUBILEUSZ SOLSKIEGO

WYSTĘP jubileuszowy Ludwika Solskiego w znakomitej — dziś historycznej — roli Judasza, w dramacie K. H. Rostworowskiego, już samą zapowiedzią wywołał rozgłos donośny.

Rozkołysały się dzwony uznania, a i tam-tamy reklamy tym razem podostrajały się jak mogły do wielkiego tonu. Rzadki brak dysharmonii poświadcza autentyczność zasługi.

Miałem szczęście (a wyrażenie to nie jest zbytnio przesadne tym razem) widzieć Solskiego w „Judaszu” przed dwudziestu laty. Dzieliłem w duchu obawy jego wielbicieli, czy nowe ówierwiece nie zaciąży zanaadto na barach takiego nawet Samsona scenicznego, jak on.

Obawy były złudne: osiemdziesięcioletni Solski grał trzydziestoletniego Judasza jak pierwszy raz, — kiedy to miał lat sześćdziesiąt w metryce, a pełną młodego ognia dojrzałość artystyczną w sobie.

Wrażenie najsilniejsze robiły, — jak dawniej, tak i dziś — te sceny, gdy Judasz gra — milcząc. Zarówno Rostworowski, jak Solski, rozumieją wymowę milczenia, jego rozdzierający, choć bezdźwięczny, krzyk.

Rostworowski wspaniale skoncentrował na Judaszu płomienny potok nauk Piotra apostoła i żarliwość próśb św. Jana, pragnącego rozgrzać serce Judasza, zastygłe w grzechu, już przechodzące w zatwardziałość zdrady. Judasz bez słowa i bez ruchu siedzi przed oczami widzów przez kilka długich minut, nie czyniąc gestów wyraźnych, ani min, ale głównie postawą wyrażając opór.

Tkwí w tej pozornej bierności taka siła (wyrażona jedynie kontrastem wobec namowy), że najwścieklejsze bluźnierstwo byłoby czemś mizernem wobec tej milczącej grozy... Jest to jedyna może w literaturze dramatycznej ilustracja, jak wygląda grzeszenie przeciw Duchowi Świętemu. Solski prostotą swojej gry dotknął wówczas genialności.

Mistrzowsko potem odegrał Solski scenę, gdy Judasz staje przed Kaifaszem i pada kopnięty w twarz. I znowu Solski zwycięża dzięki kontrastowi: — Kaifasz, tyrańska purchawka, świadoma swej zmurszałości i chcąca się opancerzyć

butą, stanowi tło, z którego występuje ze zdwojoną plastyką — ból małego człowieka, rzecz prawdziwie wielka.

Iluż dobrych aktorów dałoby się uwieźć pokusie przesady i t. zw. charakterystyczności w chwili, gdy zaprzaniec apostołski, ex-kramarz, stanąwszy przed Sanhedrynem, zaczyna mówić o swym sklepiku, sprzedanym na koszt apostołskie i o bankructwie swych nadziei. Judasza w tym momencie można zrobić zarówno matołkiem, jak demonem.

Wszelkie efekty „aktorskie” wpraszaają się poprostu do użycia, zachwalając swą wyrazistość...

Solski odtrącił je nogą, jak arcykapłan tragicznego sprzedawczyka... Judasz Solskiego o swym sklepiku mówił z taką powagą, jak prokurator Judei mówiłby o swej prowincji do cezara, gdyby mu zdawał sprawę z rządów.

Judasz tak rozumiany wzbudzał współczucie... Bo cierpienie ludzkie, — nawet w upadku, zdradzie i podłości, — musi wzruszać — ludzi. Rostworowski odgadł, a Solski grą świetną udowodnił, że niema czynu, któryby mógł zabić współczucie człowieka dla człowieka. A to znaczy, że bliźni mi nie przestajemy być nigdy.

Przedstawienie stało na wysokim poziomie. Pod względem siły dramatycznej, — w wybornym naogół zespole, — prym trzymała p. Zofja Grabowska. Majstersztykiem zaś reżyserskim była scena kłótni Saduceuszów z Faryzeuszami.

Słabą stroną widowiska był tylko atak grupy pątników na żonę Judasza, zasłaniającą męża przed gniewem zawiedzionych wyznawców Mesjasza w koronie ziemskiej. Tłum zbuntowany poruszał się sprawnie, lecz miał zamało cech indywidualnych. Zdawało się, że to zbiorowisko zawodowych prowokatorów, a nie mieszanina ludzi różnego pokroju i rozwoju. Dlatego, gdy ten zbyt jednolicie rozjuszony tłum na krzyk Racheli nagle zawrócił wstecz, — widzowie mieli wrażenie niespodzianki, jakby, naprzykład, lokomotywa cofnęła się na ćwierkanie wróbla.

Patrząc na wznowienie tezo znakomitego utworu, miałem do zarzucenia tylko jedno: mianowicie, że jest — w z n o w i e n i e m. Bo miejsce „Judasza” jest w repertuarze żelaznym, ale żelaznym n a p r a w d e, czyli wykutym logicznie i celowo, a nie odlanym naprędcę z sezonowych resztek.

Wyszedłem z teatru Polskiego z tłumem publiczności, nie czując jednak ani duchoty, ani ścisku, jakby tłum — po doznanych wzruszeniach — przestał być tłumem i stał się jakimś bractwem, jakimś ciałem zbiorowem, uduchowionem przez sztukę prawdziwą.

Ten nastrój jasny wsiąknął w mrok na ulicy Słowackiego.

Wszyscy ją znają, ale nie wszyscy uświadamiają sobie, jak wygląda ta „arterja”, sprzęgnięta z nazwiskiem wielkiego poety. Ma ona dwie strony: galową i powszednią. Strona galowa składa się z mydlarni, z teatru Polskiego i urzędu podatkowego. Stronę powszednią stanowi jeden front z dwoma tyłami kamienic.

Uliczka zwęza się w połówce w zaułeczek, tak podejrzanie malowniczy, że nie-warszawiaczy miewają wątpliwości, czy on istotnie prowadzi do teatru, a nie do jakiegoś Mont-Martre'u wotnizawskiego, zwłaszcza, gdy na budynku znajdowało się o „rozkosznych dziewczynach”.

Mniejsza zresztą o takie drobne nieporozumienia... Za to należy jak najprędzej usunąć nonsens wielki i nadać miano Słowackiego jakiejś ulicy — z prawdziwego zdarzenia. Jeśli Elekoralna (gdzie poeta mieszkał), została już — ze względu na rozmiary — zarezerwowana dla kogoś ze współczesnych, — to ofiaruj-że, stolico, Juljuszowi Słowackiemu przynajmniej ulicę K r e d y t o w ą.

Na to można sobie pozwolić nawet podczas kryzysu. Koszt prawie żaden: przybije się tabliczkę z „Kredytową” do teatru Polskiego i dysproporcja między Wawelem a zaułkiem przestanie być rażąca.

ST. M.

M U Z Y K A

TEATR WIELKI — „Afrykanka” opera Meyerbeera. — Mało sobie nawet kto zdaje sprawę, przyzwyczajony do zbyt zaciekle forsowanej legendy o dominowaniu żydów w muzyce, jak właśnie oni zaważyli w sposób zdecydowanie ujemny na obniżeniu smaku muzycznego, jak potrafili zaciężyć nad całością nieraz okresami, tak, że nazwiska Rubinsteina, Meyerbeera i Mahlera są niemal synonimami ostatnich dziesiętności lat ubiegłego stulecia.

Do dzisiejszego dnia pokutują jeszcze, i to szczególnie w muzyce, poglądy i pojęcia, wytworzone skutkiem tej żydowskiej inwazji. Niektórym się zdaje, że dzieło prawdziwie wielkie należy identyfikować z jakąś ogromną machiną, z gromadzeniem niesłychanej ilości środków, patosem kroczącym koturnowo i — śmiesznie. Przykładem tego, swoistego zupełnie gatunku baroku jest wystawiona ostatnio w teatrze Wielkim „Afrykanka”, sztuczność pisane z mozołem przez dwadzieścia lat, przeładowane akcesorjami teatralnymi, konieczne bogatymi, krzyczące swoją wystawą, które dzisiaj nikomu już nie imponuje.

To, że p. Korolewicz-Waydowa musiała kiedyś, przed laty występować w „Afrykance” jest zupełnie zrozumiałe. Było to przecież przed laty i obecna jubilatka nie decydowała o repertuarze. Dzisiaj rozumiemy dobrze sentyment zasłużonej kierowniczki Opery, mimo to szkoda, iż nie pozostał nadal w serdecznej skrytce; „wielkie dzieło” Meyerbeera nie pożyje długo na naszej scenie, tak jest słabo związane z nami i tak się okazało czemś typowo sezonowym. Mimowoli przychodzi na myśl repertuar zepchnięty kiedyś w kąć przez rozmaitego rodzaju „Afrykanki”. Czyby nie należało go sobie przypomnieć?

Jubileuszowy spektakl wyreżyserowano z przepychem. Wypożyczono nawet wielbłądy z Ogrodu Zoologicznego...

Orkiestrę prowadził Adam Dołżycki. W rolach głównych wystąpiła W. Wermińska, Czaplicki, Wyżatycki oraz w roli Ines młoda artystka Borerowa. Debiut pozwolił skonstatować, że jest to zdecydowanie dobry nabytek. P. Borerowa posiada dobrze wyszkolony, ładny sopran. Czekamy dalszych występów, mocno bowiem okrojona rola Inesy nie była zbyt wielkim polem do popisu.

W. NARUSZ

Z M A R L I

Ś. p. ANTONI GLUZIŃSKI

W DNIU 10 b. m. zmarł w Warszawie znakomity lekarz ś. p. Antoni Gluziński. Nazwisko jego oddawna znane było w całym kraju i bardzo cenione. Cieszył się uznaniem jako powaga naukowa, wzięciem jako lekarz, poważaniem jako człowiek.

Trzy uniwersytety: zrazu Jagielloński, potem przez wiele lat lwowski, wreszcie po wojnie — warszawski korzystały z jego pracy i sławy. Był członkiem Akademii Umiejętności i wielu Towarzystw Naukowych w kraju i zagranicą.

Urodzony we Włocławku 1856, w Krakowie się kształcił. Od r. 1885 do 1897 wykładał w Krakowie patologię ogólną i doświadczalną. Potem, przeniósłszy się do Lwowa, objął tam katedrę i założył klinikę, na której pracował 22 lata. W r. 1905 był rektorem uniwersytetu. W Warszawie po wojnie zasłużył się uniwersytetowi przez postawienie kliniki na stopie europejskiej. Założył t. zw. Internistów: archiwum medycyny wewnętrznej.

Nie ustając w pracy pedagogicznej i naukowej oddawał się bardzo rozległej praktyce, słynął bowiem jako dia-

gnosta. Na wszystko miał czas i siły. Podziwiano powszechnie, jaką w podeszłym wieku odznaczał się rzutkością i wytrwałością w pracy. Mógł niemal do końca życia iść zawsze w zawody z młodymi. W ostatnich latach odbył szereg podróży z powodu zjazdów lekarzy słowiańskich, które sam organizował.

Ś. p. Antoni Gluziński pozostawił okazały dorobek blisko stu prac naukowych. Znaczną część jego energii twórczej pochłonęły badania nad czynnością fizjologiczną i patologiczną przewodu pokarmowego. Zbadał zagadnienia, przez nikogo dotychczas nie poruszone, jak zależność stanu krwi od chorób żołądka, stworzył własną metodę wczesnego rozpoznawania raka żołądka, prace o rozpoznawaniu różnorodnych przyczyn zwężenia żołądka. Zajmował się chorobami narządu oddychania, koncentrując w wielu pracach naukowych swój wysiłek celem zwalczania gruźlicy. Choroby nerek również znajdowały się w zasięgu zainteresowań naukowych Zmarłego i Jemu to zawdzięcza medycyna zwrócenie uwagi na pewne odmiany mocznicy.

Niepożyte są zasługi ś. p. Gluzińskiego w dziele powołania do życia nowej organizacji — Związku lekarzy słowiańskich. Na Zjeździe lekarzy jugosłowiańskich w r. 1925 uznano za konieczne założenie wszechsłowiańskiego Związku lekarskiego i zorganizowanie na nowych zasadach I-go Zjazdu lekarzy słowiańskich. Powołany do tego komitet, do którego ze strony polskiej weszli prof. Gluziński, Dr. B. Jakimiak i doc. W. Łapiński, przyjął ostateczną redakcję statutu biorąc za podstawę projekt polski, oraz uchwalił, ażeby I-szy Zjazd lekarzy słowiańskich odbył się w Warszawie w r. 1927.

Prezesem Komitetu organizacyjnego Zjazdu został prof. Gluziński. Znaczenie propagandowe Zjazdu było wielkie. Rozwiały się różne uprzedzenia narodów pobratymczych do Polski, a uznanie dla tej ostatniej wyraziło się między innymi w wyborze prof. Gluzińskiego na honorowego prezesa wszechsłowiańskiego Związku lekarskiego.

Pogrzeb ś. p. Antoniego Gluzińskiego na ementarzu Powązkowskim zgromadził koło trumny tłumy publiczności, wśród której najliczniej reprezentowany był świat medyczny i uniwersytecki. W szeregu mów podniesiono wielkie zasługi Zmarłego.

Spółczesność utraciła w ś. p. Antonim Gluzińskim niepospolitą jednostkę, zasłużoną dla kraju i powszechnie szanowaną z powodu prawości charakteru.

Cześć Jego pamięci!

N O W E K S I A Ź K I

Pigoń Stanisław Prof. Dramat dziejowy polsko-rosyjski w ujęciu Mickiewicza. Odezyt na zamknięcie II Międz. Zjazdu Słowian w Krakowie 29.IX-1934. Kraków 1935. Odbitka z „Przeglądu Współcz.”. S. 16.

Kisielewski Zygmunt. Dni listopadowe. Powieść. z 1918 r. Warsz. 1935. Dom K. P.

Olgierd Stella. Znaki. Powieść. Warsz. 1935. Dom K. P.

Olszakowski Junoza Aleks. Prawo do życia. Powieść. Warsz. 1935. Dom K. P.

Bystroń Jan St. Megalomanja narodowa. Warsz. 1935. „Rój”. Str. 272.

Cole G. X. H. Istotny sens marksizmu. Warsz. 1935. „Rój”. S. 298.

Wańkiewicz Melchjor. Szczenięce lata. Wyd. II. Warsz. 1935. „Rój”.

Wańkiewicz Melchjor. Szpital w Cichinieczach. Opowiadanie. Wyd. II. Warsz. 1935. „Rój”.

Gojawiczyńska Pola. Dziewczęta z Nowolipiek. Pieśń. Warsz. 1935. „Rój”.

Fay Bernard. Roosevelt i jego Ameryka. Warsz. 1935. „Rój”.

France Anatol. Wspomnienia mego przyjaciela. (Przekład Gabriela Karskiego). Warsz. 1935. Mortkowicz.

W dzień Wielkiejnocy składamy wszystkim przyjaciółom i czytelnikom „MYŚLI NARODOWEJ” serdeczne życzenia:

„WESOŁYCH ŚWIĄT”

PORACHUNKI

W NAJSWIEŻSZYM zeszyte „Marchońta” (nr. 3), kwartalnika (wydawanego w Warszawie staraniem Instytutu literackiego pod redakcją prof. Stefana Kołaczkowskiego) znakomity pisarz Artur Górski zamieścił obszerny artykuł publicystyczny o charakterze programowym pt. „Porachunki”.

Publicystyka polska zbyt mało poświęca uwagi grożącemu naszej cywilizacji niebezpieczeństwu, na które składa się sojusz socjalizmu z komunizmem pod kierownictwem żydów. Z uznaniem witamy każdy śmielszy objaw krytycyzmu w sferach literackich, w tę stronę zwrócony. Milczący w tej dobie polscy myśliciele stają się przez to milczenie, współnikami dokonywanego zamachu. A zamach uplanowany jest na wielką skalę!

Z rozprawy A. Górskiego wyjmujemy urywek, zachęcając do przeczytania całości:

Atak nowego komunizmu socjalistycznego na chrześcijaństwo i na tradycję kulturalną europejską i polską posiada jeszcze jedno znamię, które zwraca na siebie uwagę prawie intencjonalnie: ruchem kieruje inteligencja pochodzenia semickiego. Jest to zatem otwarte wyzwanie, tym razem bez spuszczenia przyłbicy, trudno dłużej zamykać na to oczy. W czasach ostatnich agresywność semityzmu rośnie w tej dziedzinie. Ramię w ramię staje przy niej nowy objaw w naszym życiu: turanizm¹⁾. Jest u nas we zwyczaju lekce sobie ważyć te objawy, cóż dziwnego zatem, że zaczynamy być świadkami ciekawego procesu: inteligencja żydowska zamiast wchodzić w proces naszej psychiki, narzuca nam psychikę własną.

Naród żydowski jest narodem wielkim i potężnym, o psychice antycznej, która się zakonserwowała w ghetto. Ale jest to naród bankrutów, naród, który odrzuciwszy chrześcijaństwo, zdradził własny sens dziejowy i wyłączył się z procesu dziejów; i ta jego cecha, to fatum, leży u podstawy jego historii psychicznej, której wyrazem było ghetto. Było ono usiłowaniem zamknięcia oczu na bieg dziejów świata, abstynencją zawziętą od pracy nad kulturą Europy, nad jej ideałem moralnym, nad rozwojem więzi narodowej ludów, wśród których mieszkali, — usiłowaniem, które przetrwało z dobrym skutkiem prawie osiemnaście wieków, a jak u nas, osiemnaście i pół. Potem począł się proces przechodzenia, przenikania w społeczeństwa europejskie, otwierania oczu, z równoczesnym porzucaniem dawnej bazy religijnej, a bez zajmowania nowej, niestety bowiem ocknęli się zapóźno, w okresie racjonalistycznym kultury europejskiej, wchodzili przeto w tę kulturę, ale nie przez bramę chrześcijaństwa, — a właśnie tylko ta droga mogła obudzić ich genjusz, który jest w gruncie rzeczy genjuszem religijnym, i oczyścić ich psychikę od starych wad, które im obrosły, jak okręty oceaniczne obrastają skorupiakami i wszelakim zielskiem morskim po przebyciu długiej podróży. A oni są długo w drodze, przeszło trzy tysiące lat. Tymczasem stało się przeciwnie; wchodząc do kultury, zabierali tam z sobą cały resentyment ghetta do chrześcijaństwa, ową mistyczną nienawiść do krzyża, który obwinili o swe fatum.

¹⁾ Mam na myśli książkę Spasowskiego: „Człowiek wyzwolony”, rzecz w duchu Bakunina i jego następców.

Nie tak to łatwo wyrzucić z duszy 18 wieków wychowania i usposobienia, dożyć z niej uraz psychiczny do światła, pokonać obojętność własną w stosunku do nowej kultury, która w całej swej strukturze pozostała w głębi chrześcijańska, mimo rozdwojenia w świadomości; nie tak to łatwo dokonać tego, gdy dźwigni po temu zabrakło. Dlatego w każdym inteligencie żydowskim żyje i działa nadal fatum ghetta, miota się podświadoma histerja, owoc tego procesu, „gdy inaczej jest wewnątrz niż zewnątrz”, jak mówi psychoterapia; to dusza jego antyczna, chrześcijaństwu ciągle wroga, rozprężyła się w nim nadal *volens et volens* w kierunku zaprzeczenia, ten świat pojąć, uznać, symbolów cięży mu jako niedosięgalny i przeszkadza jego wyżyciu się, jego ambicji przewodniczenia, do której jako stara rasa rości prawo. Wszystko to razem przeszkadza mu tembardziej poznać i przeżyć kulturę, do której wazedł, choćby zdobył kilka doktoratów, — bo to nie taka łatwa sprawa, bo to wymaga przetworzenia duszy, odrodzenia, bo to woła o drogę pokory i wymaga czasu. Lepiej przeto zważyć tę przeszkodę, dać ujście starej namiętności ghetta, i na pustem polu nowatorstwa zasiąść w sanhedrynie zwycięstwa. Można to zrozumieć; wszakże to tylko wyjątkowe lotne duchy, duchy dobrej woli pośród Żydów, przeżyć mogły tę wielką przestrzeń wieków na skrzydłach wichru mistycznego, indywidualności takie jak Mereżkowski, Maritain, Papini.

My jednak Żydów tego typu nie miewamy. Mamy zatem, jak widzimy, kandydatów na polskich komisarzów bolszewickich. Z tej perspektywy sprawa przedstawia się bez idylli. Trzeba tej prawdzie spojrzeć prosto w oczy. Bo gdybyż to chodziło jedynie o sprawiedliwość społeczną, o najlepszy podział pracy i dóbr, — wtedy możnaby dojść z tą inteligencją żydowską do współdziałania. Ale ze wszystkiego wnosić wolno, że taki socjalizm nie miałby dla niej żadnej wartości, że sprawą główną, o którą jej chodzi, to przewrót kulturalny, obalenie chrześcijaństwa i starcie, zniwelowanie indywidualności narodowych. Dlatego jedność narodowa jest im „nonsensem”, — ale jedność nienawiści aprobują. Dlatego cywilizacja chrześcijańska to dla nich „stek potwornych błazeństw”; bo czują w sobie siły do zejścia w przepaście duszy dla założenia królestwa czerezwyczajki, — ale do przebycia łańcucha niebötycznych Himalajów, świecących na horyzoncie duchowym tej to właśnie europejskiej, zatem chrześcijańskiej kultury, zabrakło im moralnej odwagi. Stąd ów program z przed osiemnastu wieków: chrześcijanie *ad leones*, albo do katakumb z powrotem.

Z tej strony — drogi w przyszłość polską niema.

Stoi przed nami wielkie zadanie, i musimy je rozwiązać po ludzku, w sercu. Po olbrzymiej próbie rosyjskiej, odbierającej wiarę w człowieka i życie, przyszedł czas wzięcia tej ogromnej sprawy w nasze ręce.

Naszą jest teraz rzeczą rozwiązanie zagadnienia: czego potrzeba, aby przy wolności mogła dopełnić się sprawiedliwość. Widzieliśmy, że trzeba na to pogłębienia idei o człowieku, poprostu odrodzenia jej. Ale idea taka zdobędzie siłę o tyle, o ile weźmie pod swe skrzydła wichry wielkich uczuć, wielkich pragnień piersi ludzkiej, wychodzących na spotkanie światów nowych.

Podoleć temu może tylko organizacja narodu jako jednej rodziny.

NA MARGINESIE

Poseł Car obiecuje „sanacji” tak zmaistrować ordynację wyborezą, aby w rezultacie wybory odbywały się bez wyborów.

Kombinatorstwo to przypomina zdarzenie z czasów panowania cara, kiedy to pewien komitet filantropijny w Warszawie wpadł na pomysł urządzenia „balu bez balu”.

W odpowiedzi na zaproszenia obywatele nadawali komitetowi takie listy:

„Na bal bez balu rubla bez rubla przesyłam...”
Oby i tutaj tak nie było.



*zblizna się
Wielkonoce
wszyscy nabrywają*

**PIWO
PORTER
WODKI
LEMONIADY**

**HABERBUSCH
& SCHIELE
S.A.**

Nowa praca prof. R. RYBARSKIEGO

p. t. **NAUKA
SKARBOWOŚCI**

(str. 400, duża ósemka)

Książka ta przeznaczona jest przede wszystkim dla uczącej się młodzieży; może jednak oddać usługi wszystkim, którzy interesują się zagadnieniami finansowymi. Książka obejmuje całość nauki skarbowości, uwzględniając równomiernie wszystkie jej działy. Osobne części poświęcone są: budżetowi i prawu budżetowemu, wydatkom państwa, dochodom, ze szczególnym uwzględnieniem różnych systemów podatkowych, wreszcie długom państwowym i finansom samorządowym.

Cena księgarska 16 zł, 50 gr. Po nadesłaniu powyższej sumy administ. „Myśli Narodowej” wysyła książkę bezwzględnie.

NOWA KSIĄŻKA

p. t.

**ŚWIATOWA POLITYKA
ŻYDOWSKA**

Napisana przez
ZBIGNIEWA KRASNOWSKIEGO

jest niezmiernie cennym wydawnictwem

do nabycia w administracji
„MYŚLI NARODOWEJ”

Warszawa

Al. Jerozolimskie 17

Cena 4 zł., z przesyłką pocztową 5 zł.

Za zaliczeniem pocztowym 5 zł. 50 gr.

Należność można wpłacać na konto czekowe

P. K. O. „Myśli Narodowej” Nr. 3105.

WYSZŁA Z POD PRASY KSIĄŻKA

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

N O R W I D

Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)

NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI

„MYŚLI NARODOWEJ”

AL. JEROZOLIMSKIE 17

KONTO P.K.O. Nr. 3.105

TREŚĆ:

O nową świadomość dziejową *K. M. Morawskiego*. — Wacław Sobieski *K. Lepszego*. — „Spowodu haosu w Zeczypospolitej” *A. Nowaczyńskiego*. — Pianino *W. Miłaszewskiej*. — Prorok (z Puszkina) przekład *St. Miłaszewskiego*. — Na widowni *J. RembIELińskiego*. — Głosy. — Polska biografja narodowa *Tad. B.* — Ze świata sztuki *W. Podoskiego*. — Teatr *St. M.* — Muzyka *W. Narusza*. — Zmarli. — Nowe książki. — Porachunki. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.

Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowaki 3/5. Tel. 205-80.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM